

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów)	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	„ „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 172.

PISMA O. LUDWIKA COLOMY.



A P F E!

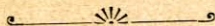


NOWELE I OPOWIADANIA

przekład z hiszpańskiego przez H. J.

z przedmową

H A J O T Y.



TOM I.



Cena 40 kop.

W pren. 30¹/₂ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
: 1901.

A P F E!

Pisma O. Ludwika Colomy.

A pfe!



NOWELE I OPOWIADANIA

przekład z hiszpańskiego przez H. J.

z przedmową

H a j o t y



Tom I.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Февраля 1901 г.



98189 | 1

K.167/19 | 109A560

Ojciec Ludwik Coloma.

Na widnokręgu belletrystyki hiszpańskiej ostatniej ćwierci minionego stulecia, na które rzucała gasnące już blaski zachodząca gwiazda Fernana Caballero, a któremu przyświecały lub przyświecają dotąd takie nazwiska jak wytwornego i głębokiego Adolfa de Castro, świetnego Castelara, nadzwyczaj płodnej i szlachetnie myślącej, choć mniejszego talentu, Patrocinii de Biedma, realistycznej aż do naturalizmu, ale obdarzonej ogromnym powieściopisarskim rozmachem Emilii Pardo Bazan, dowcipnego, subtelnego Juana Valéry, Peredy, Péreza Galdósa, oraz tylu innych imię ojca Colomy zdobyło sobie odrębne i zaszczytne miejsce.

Jest to indywidualność autorska bardzo zrównoważona, bardzo jednolita, i przy całej swej powściągliwości zdradzająca bujny i żywy temperament. Zawód swój pisarski traktuje Coloma nie jako cel, ale jako środek; tak powszechne dziś hasło „sztuki dla sztuki” było dlań zawsze czczym dźwiękiem. Uochał literaturę i służy jej wiernie, przecie nie jako

bóstwu swemu, lecz jako kapłance, mającej do spełnienia potężne i zaszczytne posłannictwo.

A to jej posłannictwo widzi Coloma przedewszystkiem w podnoszeniu dusz ku celom wyższym nad poziom doczesnych dążeń, w zasiewaniu w umysłach zdrowego i czystego ziarna, w rozplamianiu serc miłością ideałów etycznych; jeśli zaś sam bierze pióro do ręki, to czyni to zapatrzony zawsze w jeden z tych punktów przewodnich, a raczej we wszystkie razem.

Jest więc to bezwątpienia pisarz tendencyjny i poniekąd jednostronny, a jako taki bardzo łatwo mógłby stać się i nudnym. Ale do szczęśliwego opłynięcia tej zabójczej dla beletrysty Charybdy, dopomaga Colomie wrodzony dowcip, który często bywa gryzącym; barwna plastyka słowa, zwłaszcza w opisach natury; świeżość porównań nader nieraz trafnych i dosadnych, a zwłaszcza ów bujny, wrażliwy temperament, który, dobrowolnie pod zakonną suknę schowany, nie rozdziera jej nigdy nie licującym z nią, namiętym wybuchem, lecz pracując wewnątrz, układa prawie bezwiednie jej proste, surowe fałdy w bardziej światowe i artystyczne linie.

Gojący patriota, całym sercem przywiązany do swego społeczeństwa, Coloma bystrem okiem widzi jego wady, boleje nad nimi i wszystkie swe autorskie usiłowania kieruje ku temu, aby je wykazywać i leczyć.

Wychodząc zaś z tej zasady, że gdzie szczyt i spód są zdrowe i mocne, tam środek psuć się nie może, lub przynajmniej przez swe miejscowe braki i usterki nie zagraża całości, Coloma w pismach

swoich troszczy się wyłącznie o dwie sfery: arystokrację i lud, ich dobro i udoskonalenie ma przedewszystkiem na względzie.

Obie te sfery są mu zarówno znane, w obu obraca się z jednakową swobodą domownika. Tylko pobłażliwy, łagodny, niemal optymistyczny uśmiech moralizatora, z jakim przestępuje progi chat zmienia się w subtelny, pełen ironii, chwilami wprost zjadliwy grymas satyryka, ilekroć mu przyjdzie rozgarnąć aksamitne portyery salonów.

Pomimo to, a może właśnie dlatego artystyczna wartość tych jego utworów, jak naprzykład słynnej „Currity” (w oryginale *Las Pequeneças*), tłumaczonej na nasz język przez Porębowicza, lub *Por un piojo* („Przez wesz”), którą to powiastkę dajemy tu naszym czytelnikom, zmieniwszy tylko jej wielce nieestetyczny tytuł¹⁾, większa jest niż tamtych, choć z drugiej strony brak im tego urozmaicenia i tego lokalnego kolorytu, jakim z samej natury swego środowiska, odznaczają się ludowe obrazki Colomy.

Salon jest zawsze mniej więcej szablonowym, mniej więcej kosmopolitycznym, zaś lud, zwłaszcza też lud hiszpański, ten najbogatszy w Europie kalejdoskop typów, ta nigdy niewyczerpana kopalnia dla artysty, psychologa i etnografa. I gdyby Coloma był w tych obrazkach i nowelach ludowych, jakich moc napisał równie wielkim artystą, jak jest bystrym psychologiem i sumiennym etnografem, to byłyby to po prostu rzeczy znakomite, mogące stać się ozdobą każdej

¹⁾ Mowa tu o powieści „A pfe“ rozpoczynającej niniejszy tom.

literatury. Bruździ im w tem zwykle uboga, a czasem wprost naiwna fabuła; akcja, rozwijająca się zbyt wyraźnie, według z góry obmyślonego planu, nie zaś siłą naturalnej logiki wydarzeń; oraz częste zapominanie autora, do pewnego stopnia usprawiedliwione, jego stanem duchowym, że utwór beletrystyczny nie jest amboną.

Bądź co bądź, obrazki te czytają się z przyjemnością, a nawet z pożytkiem, zwłaszcza dla cudzoziemca, przesuując przed jego oczyma szeregi postaci, scen, obyczajów i krajobrazów, w których drga prawda obserwacji naocznego a bystrzego świadka.

Coloma w obrabianiu swych pomysłów posługuje się metodą realistyczną, a drobiazgowość, z jaką wycieniowya tło każdej akcji, mimowoli, pomimo całego nieprawdopodobieństwa takiego zestawienia, przywodzi na pamięć Zolę i innych naturalistów francuskich.

Przytem nie powtarza się. Jego andaluzyjski, pogodny, dowcipny a lekkomyślny chłop, łatwo zapalny i łatwo stygnący nie przypomina w niczem energicznego, ponurego i zaciętego Baska; a charakterystyczne te cechy umie Coloma wydobywać za pomocą kilku śmiałych pociągnięć. Punktując i cieniując tło, postacie rysuje zawsze od ręki i w tem niezaprzeczenie jest artystą.

A teraz kilka szczegółów biograficznych:

Coloma urodził się w 1851 roku w Jerez de la Frontera. Z dzieciństwa nęciły bujną jego wyobraźnię awanturnicze podróże i przygody, i marzył o zawodzie marynarza, o czem sam wspomina w opowiadaniu p. t. *Polvos y Lodos* („Tumany i kalu-

że”), które czytelnicy znajdą również w niniejszym zbiorze. Jakoż w dwunastym roku życia wstąpił do przygotowawczej szkoły morskiej; powołanie to jednak nie musiało być rzeczywistem, gdyż nie wytrwał w niem i przerzucił się na wydział prawny w uniwersytecie sewilskim. Tam to zapoznał się z Cecylią de Arrom z domu Faber, znaną pod pseudonimem Fernan Caballero, która wówczas znajdowała się u szczytu swjej powieściopisarskiej sławy. Jej wpływ i kierunek zachęciły go do studyowania literatury; nie miał jednak jeszcze wtedy zamiaru poświęcić się temu zawodowi.

Po ukończeniu uniwersytetu przeniósł się do Madrytu i zapisał się do kolegium adwokatów, ale tu znów bardziej nęciła go polityka, niż prawo. Rzucał się też w wir zabaw i uciech, a elegancki, młody, dowcipny i wykształcony stał się wręcz ulubieńcem salonów i salonowych bogiń, i ta epoka tłumaczy ową wyborną znajomość wielkoświatowego życia i ową subtelną i głęboką analizę kobiecej duszy, tak świetnie przeprowadzoną, zwłaszcza we wspomnianej już „Curricie,” co inaczej mogłoby być rzeczą wysoce zadziwiającą, a nawet wprost nie możliwą w cichym i odsuniętym od świata zakonniku.

Zakończył się jednak ten okres, a zakończył w sposób tajemniczy: kulą, która uwięzła mu w pierś, niewiadomo czy za sprawą przypadku, czy samobójczego zamachu, a która przez długi czas trzymała go w zawieszeniu pomiędzy życiem i śmiercią.

Wyzdrowiawszy, Coloma wstąpił do zakonu Jezuitów i odtąd już wyłącznie poświęcił się służbie Bożej i literaturze.

Z powieści większych oprócz „Currity” napisał jak dotąd tylko *Juana Miseria* („Jana Nieboraka”). Zato nowel, oraz dłuższych i krótszych opowiadań moc wyszła z pod jego pióra. Staraliśmy się wybrać takie, które najróżnostronniej oświecają talent tego sympatycznego i szlachetnego autora; że zaś beletrystyka hiszpańska wogóle mało jest w naszym piśmiennictwie uwzględniona, sądzymy, iż czytelnicy chętnie bliższą z nią zawrą znajomość.

Hajota.

I.

Bardzo zafrasowana siedziała tego poranku Pepita Ordonez przed swoją gotowalnią, trzymając dwa listy, każdy w innej ręce.

Upuściła je wreszcie na poduszeczkę najeżoną szpilkami i opierając łokcie na toalecie, wśród mnóstwa zalegających ją drobiazgów, utkwiała ten wzrok, który nie widzi, jakim młodość ściga złudzenia swej wyobraźni, w zwierciadle! Lśniaca jego powierzchnia odbijała jej twarzyczkę porcelanowej laleczki, uwieńczoną papilotami, sterzcącemi nad czołem, niby cztery figlarne różki.

Nie ulegało wątpliwości, że Pepita Ordonez śniła ra jawie, blakając się po zaczarowanych ogrodach rozkosznych nadziei, jakie jeden z owych listów zbudził w jej sercu. Był to bilecik trójkątny, płomienisto czerwonego koloru, o czarnych brzeżkach, zaadresowany drobnem kobiecem pismem i zamiast pieczętki, zaklejony czarnym dyabełkiem, bardzo miluchnym, jadącym na welocypedzie.

Pomimo to, nie było go czuć siarką, przeciwnie, woniał *oppoponax*'em, zapachem bardzo w owym czasie modnym, i z całego swego wyglądu mocno zakrawał na bilecik jakiejś paryzkiej kokotki.

Tymczasem pochodził od bardzo przyzwoitej panienki; ale niestety, hiszpańskie damy tak skwapliwie przyjmują wszystko, co im Francya nadsyła, że

nie troszczą się wcale o tak mętne najczęściej i cuchnące źródła tych wszystkich naleciałości szyku.

Powiadają, że za krzyżem chowa się dyabeł; w liście tym działo się naodwrot. Dyabełek był na froncie, a wewnątrz w nagłówku znajdował się małeńki krzyżyk, dwoma bardzo pobożnymi strzyżkami nakreślony. Pod nim dopiero czytało się następujące słowa:

„Najdroższa Pepito!

„Wczoraj przyjechał Pepito z Brukselli...

Tu Pepita Ordonez wydała lekki, przenikliwy okrzyk, właściwy nerwowym kobietom, kiedy się czego przelękną, lub czemś ucieszą i ze wzrastającym zajęciem czytała dalej:

„...a że to dziś czwartek Kumów¹⁾, więc mama chce uświetnić przybycie naszego dyplomaty zebraniem w ścisłym kółeczku; będziemy ciągnąć losy, potańczy się trochę i wogóle zabawimy się doskonale, zwłaszcza, jeżeli ty przyjdiesz. Pepito dopytywał się bardzo o ciebie i pragnie cię zobaczyć. Jeżeli przyjdiesz wcześniej, zanim goście zaczną się zjeżdżać, to ci pokażę śliczny *port-bonheur*²⁾, jaki Pepito przywiózł mi z Paryża. Włożę go nawet dziś. Jest cudowny. Pepito powiada, że takuteńki widział u księżnej Metternich.

„Kończę już, bo się bardzo śpieszę, mama poleciła mi rozpisać wszystkie zaproszenia, ażeby nadać tem poufniejszy charakter temu wieczorowi...

Twoja najwierniejsza przyjaciółka,
Mercedes, *enfant de Marie.*”

¹⁾ Wyrażenie to odnosi się do pewnego hiszpańskiego zwyczaju, który w dalszym ciągu objaśnionym będzie.

(Przyp. tłóm.).

²⁾ Ma być *porte-bonheur*.

Pepita była tak przejęta czytaniem tego bileciku, iż w pierwszej chwili nie zauważyła następującego *post-scriptum*:

„Będzie nam bardzo przyjemnie, jeżeli twoja kuzynka zechce ci także towarzyszyć.”

Ale Pepita płynęła już z rozwiniętymi żaglami po kapryśnych falach fantazyi, nie troszcząc się zgoła o swoją kuzynkę.

Pepito przyjechał... dopytywał się o nią, pragnął ją zobaczyć... a ów Pepito był urodziwym dwudziestopięcioletnim młodzieńcem, bogatym, utalentowanym, hrabią w dodatku; wracał z Brukselli z zamiarem ożenienia się w swoim rodzinnem mieście, słynącym z tego, że jego kobiety są wzorowymi matkami rodzin. Pepita przypomniała sobie owo przyśłowcie:

„Tyś Pepito, jam Pepita.
Ot i ksiądz nas stutą wita...”

I uważając już jego spełnienie za kwestyę czasu, zaczęła układać przyszłość z nierównaną w tak młodej osobce roztropnością. Niewątpliwie przeznaczenie przy dzisiejszem ciągnięciu losów da jej za „kuma” Pepita, a gdy ten pierwszy krok będzie zrobiony, będzie już można zająć się wyprawą, zaczynając od korony o dziewięciu pałkach, jaką jej podaruje Pepito.

Co się tyczy tej korony, to Pepita nie życzy jej sobie w kształcie dyademu—to już zbyt oklepane; chce, ażeby to była prawdziwa korona z szafirami, taka, jaką widziała w Sewilli u hrabiny de la Tuna, na balu w pałacu San Telmo; a ponieważ nie wypadałoby powiedzieć tego wręcz Pepitowi, więc użyje pośrednictwa Mercedes, przyszłej szwagierki, albo lepiej swojej własnej kuzynki: to takie potulne, takie nieszczęśliwe stworzenie, że z pewnością pochlebi jej odegranie tej roli.

Nad suknią ślubną niema co wiele myśleć: to już strój sakramentalny, niepokalanie biały, powłóczysty, w mglistych zwojach welonu wstydliwie tonący; odfotografuje się w niej, ażeby potem dzieci jej miały pamiątkę, a przy tej sposobności nie omieszka zrobić z nią: „zyg, zyg marchewka” Elwirze Pachezo. Nie dosyć jej ta nieznośna dziewczyna nadopiekała? A to wszystko dlatego, że jeździ co rok do Madrytu, do swojej ciotki margrabiny... Wielka mi figura! Poczekaj-że moja panno! Pepita pośle ci swoją fotografię w ślubnym stroju z dedykacją bardzo czułą, bardzo wymowną, żebyś pękła ze złości.

Ale suknia na zaręczyny; z tą większy kłopot. Różowa będzie, czy niebieska? W tych dwóch kolorach było jej najbardziej do twarzy. Różowy czynił ją nieco bladą; może lepszy byłby niebieski? W ostatnim numerze „Moda Elegante” była wzmianka o księżnie del Pino, która w zwojach błękitnej gazy podobna była do Amfitrydy, z łona wód wychodzącej. Pepita Ordenez nie wiedziała dokładnie, kim była Amfitryda; ale postanowiła zapytać o to don Recareda Conejo, bardzo uczonego męża, i wybór jej padł ostatecznie na kolor niebieski.

Zapragnęła jednakże zrobić małe doświadczenie, ale nie miała pod ręką nic niebieskiego. Ach! owszem; była gdzieś w kącie błękitna bibułka do owijania świec. Pepita okręciła nią szyję, odchyliwszy poprzednio niekoniecznie czysty kołnierzyk perkalowego kaftanika. Było jej prześlicznie. Niech się schowa w kącie księżna del Pino, Amfitryda i wszystkie piękności wodne i lądowe!

Zachwycona sobą, Pepita uśmiechnęła się do lalkowatej twarzyczki, jaką jej ukazywało zwierciadło, i wyciągnawszy rękę, zaczęła obracać w palcach ów drugi list, który leżał zapomniany na toalecie... Ale po chwili, rozkołysana marzeniami, upuściła go na podłogę, po której potoczył się z przeciągłym

chrzęstem, rodzajem papierowego westchnienia, jak gdyby mówiąc żałośnie:

— Tak to obchodzisz się ze mną — donna Pepito?

Pepita schyliła się, ażeby go podnieść. Co za nieznośna rzecz myśleć o drobnostkach, kiedy ją zaprzątają tak ważne sprawy! A jak ten list wyglądał! Duża, kwadratowa, trywialna koperta zaadresowana była pismem grubym i nierównym, jak następuje:

Do własnych rąk Panny Juzeфы Ordenez i jej kuzynki, ulica Montera, Nr. 8.

— *Panny Juzeфы!* — powtórzyła głośno Pepita — to poprostu wstyd odbierać takie nieortograficzne listy! Zupełnie jak gdyby się z praczkami utrzymywało stosunki.

I gniewnie rozdarła kopertę.

Wypadł z niej drukowany napis z błękitną pieczęcią stowarzyszenia *Córek Maryi*. Przewodnicząca donosiła w nim pannie Józefie i jej bezimiennej kuzynce, że o ósmej nazajutrz, to jest w piątek, 3-go marca, odbędzie się ogólna komunia stowarzyszonych w ich kościele, prosząc zarazem o punktualne przybycie i nadmienając, iż na tej samej mszy komunikować będzie także pięćdziesiąt ubogich staruszek, któremi się opiekuje stowarzyszenie; poczem stowarzyszone dadzą staruszkom obfite śniadanie i rozdzielą pomiędzy nie drobne dary z bielizny i ubrania, w nagrodę za gorliwe spełnianie obowiązków religijnych.

Wiadomość ta oblała Pepitę zimną wodą. Naprawdę wyobraźnia, na inne wiodąca ją szlaki, przedstawiała jej, jak zajmująco wyglądać będzie, prowadząc do świętego stołu zniedołężniałą staruszkę, niby ów melancholijny i ascetycznym zachwytem promienisty anioł, podtrzymujący świętego Jana Bożego, który dźwiga ubogiego na znanym obrazie Murilla.

Piękne to było, ale Pepicie bardziej się podobało tamto; i bliska niemal płaczu, zmieniła w rękę ku-

rendę *Córek Maryi*. Także wybrała się przewodnicząca! Jak gdyby te pół seciny starych bab nie mogło komunikować każdego innego dnia! Bo należało wybierać: albo wyrzec się wieczoru u hrabiny, albo nie wzięc udziału w ogólnej komunii, lub też przystąpić do tego sakramentu pod świeżem jeszcze wrażeniem muzyki, tańca, losów i karnawałowego kumostwa.

To ostatnie było ową szczęśliwą pośrednią drogą, która wydała się Pepicie najodpowiedniejszą. Przecież nic złego na tym balu robić nie będzie; opuści go trochę wcześniej, prześpi się parę godzin, a wstając zrobi rachunek sumienia w ciągu kilku minut.

Najgorszem w tem wszystkim to był Ojciec Rodriguez, duchowny przewodnik *Córek Maryi*, który zawsze perorował na ten temat, że w jednym sercu Boga i świata pomieścić nie można, a potem ta kuzynka, prawe oczko Ojca Rodrigueza, taka niemądra, taka zacořana, że nigdy nie mogła zrozumieć ważnych obowiązków, jakie towarzystwo eleganckim damom nakłada, i która pod żadnym pozorem nie zgodzi się towarzyszyć Pepicie i tu i tam... Bo gdyby ją można było do tego nakłonić, to kto wie, kto wie, czy Ojciec Rodriguez pokwapilby się ze zganieniem Pepicie tego, coby pragnął usprawiedliwić w swej ulubionej owieczce.

I nad tem to rozmyślając, siedziała Pepita Ordenez mocno zafrasowana, z łokciami opartemi na toalecie i ze wzrokiem utkwionym w zwierciadło, w którym odbijała się jej twarzyczka porcelanowej laleczki, uwieńczona papilotami, sterczącemi na i czołem w kształcie figlarnych rozków.

I wtedy to także otwarły się drzwi, a do pokoju weszła Teresa, owa bezimienna kuzynka, o której była wzmianka w obu listach. Trzymała w rękach dwa kawalki lichego perkalu w jaskrawy, odylnarny

rzucik i podsuwając je pod oczy Pepicie, rzekła na pół żartobliwie, wpół gniewnie:

— Może będziesz łaskawa objaśnić mnie, co tu ma być wierzchem, a co spodem? Bo tak, jak ty krąlałaś, możnaby z tego równie dobrze uszyć podszewkę, jak rękaw.

I mówiąc to Teresa, pochyliła nad nieszczęsnym perkalem swą dumną szyję, wygiętą, nieco szeroką, jak to się widzi u dziewic Perugina.

II.

Mało kto w Z* znał Teresę pod jej rzeczywistem nazwiskiem. Wszyscy nazywali ją *kuzynką Pepity*, bo świetna osobistość tej ostatniej usuwała w cień skromną dziewczeczkę, tak jak pospolity blask perłowej konchy zaćmiewa dla nieświadomych oczu łagodną matowość samejże perły.

Pepita Ordenez była jedną z tych prowincjonalnych elegantek, jedną z tych królowych drugorzędnych salonów, które zamiast berła mają wachlarz, a zamiast mózgu — słoik z *coldcream*'em lub pudelko pudru; gwiazd pierwszej wielkości na zacieśnionem niebie małego miasta, które nie zaznawszy nigdy szerszych horyzontów, wyobrażają sobie, że są równe wspaniałym gwiazdom mody, znanym im tylko z kronik żurnalowych i reporterskich ech z wielkiego świata.

Gdy Pepita Ordenez wyczytała w tych źródłach swojej wiedzy, że księżna H* w Paryżu wprowadziła w modę kolor *vert de Nil*, lub że hrabina X* w Nizy nosiła na głowie dzokejkę, uśmiechała się samym wyrazem przyjacielskiego porozumienia, z jakim Franciszek-Józef lub cesarz Wilhelm uśmiechnąłby się do sultana tureckiego, widząc, że



stały się już publiczną własnością tajemne układy i dyplomatyczne kombinacje, podpisane jeszcze przed dziesięcioma laty.

I wistocie, istnieje pomiędzy temi królowemi Semiramidami i ich kopjami jeden rys wspólny, jaki wytworza proporcjonalność podobnych do siebie figur geometrycznych, tożsamość formuły eliptycznej, toż samo bowiem wyraża olbrzymi łuk, jaki Uranus zakreśla w przestrzeni, co linia lotu wróbla skaczącego z dachu na dach. Nigdy, czy to na dworach cesarskich, czy w małomiasteczkowych salonikach, żadna z tych gwiazd mody nie staje się aniołem niczyjego domowego ogniska; zawsze obmowa chłoszcze jej próżność, przemieniając jej ujemności w wady, a jej błędy w występki.

Teresa była zupełnem przeciwstawieniem swej kuzynki: nienawidząca wszystkiego, co na pokaz, skromna, lecz nie uniżona, ustępowała chętnie Pepicie pierwszeństwa we wszystkim, co się tyczyło salonowego życia. Jedynym ich prawdziwym łącznikiem była donna Augustia, matka Pepity, a ciotka Teresy, najlepsza w świecie kobieta, ale ograniczona na potęgę.

— Dobra, ale jakaś głupia! Głupia, ale jakaś dobra! — mówili o niej naprzemiennie życzliwi i niechętni, w większej lub mniejszej ilości mieszając ze sobą te dwa pierwiastki dobroci i głupoty, jakie się składały na moralną istotę wdowy Ordonez.

Jej to zawdzięczała Teresa kawałek chleba w nędzy i opiekę w sieroctwie, w jakim ją śmierć ojca zostawiła. Był on szefem szwadronu, i w chwili, gdy wybuchła rewolucya 1868 roku, dowodził jednym z najważniejszych oddziałów marynarki, ale skoro rozległ się w Hiszpanii ów okrzyk zdrady i anarchii, ów dzielny żołnierz i marynarz zaprotestował energicznie, poczuwając się w sumieniu swoim dy tej opozycji osobistej, tembardziej bohaterskiej, że zgola bezużytecznej.

Złożony z dowództwa i wysłany do koszar w San Fernando, zmarł tam, gasnąc powoli, i nie przywdziewszy już nigdy tego munduru, który w surowości swych zasad uważał za szanbiony na zawsze. W testamencie polecił Teresie, aby go pochowano w stroju chłopskim, a na wypadek, gdyby rząd chciał oddać mu należne wojskowe honory, aby przyspieszono pogrzeb i złożono jego ciało w kaplicy cmentarnej, „gdyż nawet po śmierci — dodawał w końcu — nie chcę nic przyjąć od zdrajców.”

Teresa była godną córką tego męża, którego dewizą było: *Złamię się, ale się nie ugnę*, i wtedy to po raz pierwszy objawił się jej charakter, nie mający w dotychczasowej pomyślności, w jakiej żyła, żadnych cech wybitnych. Bo jak potrzeba podłożyć minę, aby proch wybuchnął, tak potrzeba nieraz nie-szczęścia, aby wyprowadzić na jaw szczytne przy-mioty, drzemiące w wielu sercach.

Gdy przewrotni towarzysze broni zmarłego generała zgromadzili się, aby mu po śmierci oddać honory, jakich go za życia pozbawili, oburzenie osuszyło łzy żalu w oczach sieroty. Sama jedna stawiała czoło wszystkim i kazawszy potajemnie wynieść zwłoki ojca, przeprowadziła je sama także do ogólnej kostnicy na cmentarzu, jak to było wyrażone w testamencie.

Rząd uznał ten postępek za akt politycznego buntu ze strony sieroty, liczącej podówczas zaledwie trzynaście lat, i wbrew wszelkiej sprawiedliwości i prawu, pozbawił ją emerytury po ojcu, pozostawiając ją w nędzy.

Wtedy to przygarnęła ją owdowiała ciotka, a sierota tak potrafiła zaskarbić sobie jej względy, że przez dwa miesiące donna Augustia nie знаła innego przedmiotu do rozmowy nad wychwalanie zalet swej siostrzenicy, powtarzając ze swą zwykłą naiwną do-broduszością:

— Co to za złote dziecko! Jaka roztropność w tej malej główce! Jaką ja mam z niej wyrękę!

Pepita ze swej strony przyjęła kuzynkę z uniesieniem, z jakim dziecko przyjmuje dużą lalkę; później zaś dojrzewająca królowa salonów miała nadzieję uczynić z niej sobie nadworną damę, któraby jej wszędzie prawie towarzyszyła, piastując jej wachlarz i chusteczkę podczas walca. Ale wkrótce przekonała się, że tak pod względem powierzchownych, jak wewnętrznych zalet, korona królewska bardziejby się należała nadwornej damie, niż jej, i wtedy to Teresa zaczęła w niej budzić owo gorzkie uczucie, zawistne aż do okrucieństwa, jakie w sercach pospolicznych rodzi się względem osób niższych materialnie, a wyższych moralnie.

Teresa zrozumiała odrazu powód zmiany, jaka zaszła w uczuciach jej kuzynki, i z tym wytwornym taktem istot szlachetnych a nieszczęśliwych, zaczęła unikać wszelkiej sposobności zaćmienia Pepity, strojąc dlatego od wszelkich zebrani i towarzyskich rozrywek, a szukając dla siebie towarzystwa wśród poleczniczek i uczestniczek różnych stowarzyszeń pobożnych, ku którym wiodła ją jej głęboka religijność i tkliwe na ludzkie nędzy serce.

Jednym z takich stowarzyszeń było właśnie owo *Córek Maryi* i Teresa była jedną z najgorliwszych jej członkiń w tem wszystkim, co się do wspierania biednych odnosiło. Po całych dniach szła dla nich bieliznę i ubranie; Pepita zaś, która lubiła grać wszędzie jakąś rolę, zapisała się także na listę pań opiekunek. Przyjęła na siebie obowiązek kroczydni, wywiązując się z niego w sposób dosyć niefortunny, jak to ze słów Teresy wnosić należało.

Usłyszawszy ją Pepita, odwróciła głowę i rzekła z gniewną ironią:

— Nie wiedziałam, że kaftany dla biednych trzeba krajać według wzorów z żurnali. Może je-

szcze każesz je przystrajać koronkami i pasmanteryą?

Teresa utkwiała w kuzynce swe wielkie, czarne oczy, a widząc, że ta ostatnia nie była w tej chwili w usposobieniu samarytanki, zaczęła, nie dodawszy słowa, dopasowywać owe bezkształtne kawałki perkalu, mające się przeistoczyć w rękawy.

— Powiadam ci — zawołała z większą jeszcze irytacją Pepita — że mam już tych kaftanów i koszul i całego waszego stowarzyszenia powyżej głowy.

Powiedziawszy to, zaczęła bardzo ostrożnie rozkręcać papiloty.

— Nie pojmuję, co sobie ta przewodnicząca myśli! To, co się tam dzieje, przechodzi poprostu wyobrażenia!... Patrz tylko!

I końcami palców, jak gdyby dotykając się jakiegoś wstrętnego płazu, rzuciła Teresie na kolana rozdartą kopertę *Córek Maryi*.

Teresa obejrzała ją na wszystkie strony i przeczytawszy adres, rzekła spokojnie:

— To pewno zawiadomienie o jutrzejszej Komunii? I cóż w tem jest? Czy ci się wydaje za wcześnie?

— Ależ nie o to chodzi! — wykrzyknęła Pepita z taką gwałtownością, pakując paznogie w papier, że nimi aż wytoczyła dziurę. — Patrz! Czy nie widzisz, że pisze *Juzefa!*

— Ach, Boże! — zawołała Teresa, śmiejąc się. — Któżby robił biednej Rosicie Pinna zarzut z błędów ortograficznych.

— Kiedy nie umie pisać, to niech lepiej skrobie kartofle, a nie bierze się do adresowania kopert. Piękne stowarzyszenie, mające taką sekretarkę. *Józefa* przez *u!* Ależ to wstyd! Wykreślam się z tego szanownego grona, wykreślam się stanowczo.

— Takim sposobem powinabyś się także wykreślić z towarzystwa Mercedes Pineda — odparła Te-

resa z żywością — bo ta, w trzech liniach, jakie tu któregoś dnia do ciebie napisała, zrobiła dwa błędy gramatyczne.

— O przepraszam! — wykrzyknęła Pepita zaperzona — Mercedes mówi prawie ciągle po francuzku i dlatego myli się czasem, gdy pisze po hiszpańsku. To jest zresztą bardzo dystyngowanie... Zresztą, masz tu właśnie jej list dzisiejszy, przeczytaj go, w nim chyba nic nie znajdziesz do przygany.

I korzystając ze sposobności, Pepita z wielką dyplomacją wręczyła kuzynce trójkątny bilecik Mercedes. Teresa wzięła go z pobłażliwym uśmiechem, lecz spostrzegłszy jadącego na welocypedzie dyabelka, rzekła lekceważąco:

— Co to za niesmaczny pomysł. Dyablem pieczętować listy!

— A ty byś zapewne chciała, żeby umieściła chrzcielnicę i kropidło — odparła Pepita.

— Pomiędzy chrzcielnicą i kropidłem a dyablem na welocypedzie, jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które nikogo nie rażą — rzekła Teresa poważnie.

Złośliwy trochę uśmieszek przewinał jej się po ustach, gdy skończyła czytać. Zdała sobie sprawę z kłopotu, w jaki te dwa tak odmiennie zaproszenia wprawily Pepitę i pojęła natychmiast przyczynę jej złego humoru, narzekań na stowarzyszenie i ortograficznej zgrozy. Zrozumiała także, jaki szturm zamierzano do niej przypuścić. — Zajmując odrazu stanowisko obronne, zaczęła się śmiać do rozpuku:

— Wykreślam się! wykreślam się! wykreślam się! — wołała, naśladując śmieszne oburzenie swej kuzynki.

— Co ty pleciesz!

— Ach! nic. Oto wykształcona panna, która zaprasza na bal i pisze *port-bonheur* — mówiła dalej Teresa, pokazując ten wyraz w bileciku — powiadam ci, że Mercedes celuje w hiszpańszczyźnie, gdy pisze

po francuzku, a we francuzczyźnie, gdy pisze po hiszpańsku.

Pepita wyrwała papier kuzynce i zaczęła szukać owego nieszczęsnego wyrazu.

— Tak, tak, patrz — ot tu! — mówiła Teresa z tryumfem — *Port-bonheur*, zamiast *Porte-bonheur*. Ładna ortografia, która cały sens zmienia. *Port*, to przecież znaczy *przystań*, a *porte* — *niesie*! To gorsze, niż Józefa przez *u* biednej Rosity.

I śmiejąc się do rozpuku, zawołała:

— Nie, nie! wykreślam się ze stowarzyszenia panny Mercedes i z pewnością nie zobaczy mnie więcej u siebie.

— Jakto? nie masz zamiaru pójść na dzisiejszy wieczór? — zawołała Pepita, gotując się do walki.

— Alboż nie widzisz, że pisze *Port-bonheur*! Czy podobna, aby moja noga postąpiła w tym domu?

— Byłoby to z twojej strony poprostu grubiaństwem nie przyjąć tak serdecznego zaproszenia.

— Et! — rzekła Teresa, zmieniając nagle ton. Z pewnością z żalu za mną nie umrze. A ja tam właśnie tak jestem potrzebna, jak dziura w moście.

— No, pod tym względem, to się może i nie bardzo mylisz — przycięła jej Pepita. — Ale, stawsz mnie i mamę w przykrem położeniu, bo ludzie wyobrażają sobie, że cię zawsze zostawiamy w domu jak kopciuszka.

Teresa popatrzyła na swoją kuzynkę i zaczęła się śmiać z pewną goryczą, ale wiedząc, że tylko żarcikami będzie się mogła wykreścić, otworzyła szeroko oczy, wydeła policzki i z komiczną zgrozą powtórzyła:

— *Port bonheur!*

— Głupia jesteś ostatecznie z tym swoim konceptem! — wykrzyknęła rozszalona Pepita. — Może wyobrażasz sobie, że umiesz po francuzku lepiej, niż

Mercedes. Od kogo ześ brała lekcye: od ojca Rodrigueza, czy od Rosity Pinna...

— *Port bonheur!* — powtórzyła znów Teresa. — To tak jakby kto powiedział: *Przystan! szczęśliwości!* Pomyśl tylko, jakby wyglądała biedna księżna Metternich, dźwigając na rękę cały port z okrętami, łódkami i wszystkim, co do niego należy.

Pepita Ordenez nie mogła ścierpieć dłużej, aby się wyśmiewano z jej ukochanej przyjaciółki Mercedes, koleżanki księżnej Metternich, podstarzałej już trochę królowej paryzkich salonów i zawołała blada ze złości:

— To zazdrość przez ciebie mówi, bo zawsze, gdy jesteś przy nas, musisz zająć podrzędne stanowisko.

Teresa miała już odpowiedź na końcu języka, ale się powściągnęła i rzuciła Pepicie raz jeszcze:

— *Port bonheur!*

— O! ja wiem dobrze, dlaczego niechcesz pójść dziś do Mercedes — mówiła dalej Pepita. — To są skrupuły świętej hipokrytki, wielbielki ojca Rodrigueza. Chodź ci o jutrzejszą Komunię!

Teresa popatrzyła oko w oko w oko kuzynce i rzekła z żartobliwym naciskiem na każdą sylabę:

— Właśnie! Właśnie! Właśnie!

— Otóż macie! — wykrzyknęła tamta. — Takie to są te świętoszki. My, zwykle grzesznice, idziemy na bal, a potem przystępujemy do Stołu Pańskiego, bo czemu by nie? Nie robimy tam przecież nic złego. Ale te anielice, te kanonizowane za życia istoty nie mogą, nie odważają się!.. Pięknie one tam broić muszą, skoro je takie obawy zdejmują.

— To prawda! Wyobraź sobie tylko! — rzekła Teresa żartobliwie.

— Nie potrzebuję sobie wyobrażać, bo wiem. Znam doskonale twoje faryzeuszowskie przebiegi, żeby mnie zawsze na sztych wystawiać i ośmieszać, żeby siebie otaczać aureolą domowego anioła, biblij-

nej niewiasty, przędającej len i strzegącej domu, podczas gdy ja uchodzę za światową i płochą dlatego, że mnie wszędzie widzą... O! ale to się nie na wiele przyda... Ludzie jakoś umieją poznawać się na tych fałszywych brylantach, a dowodem tego, że pomimo tych wszystkich pozorów kapłanki domowego ogniska, jakoś sobie dotychczas męża nie złapałaś. Radziłabym ci też-po przyjaźni nie czekać dłużej i wyjść za twego przyjaciela Menuto, zakrystyana od świętego Marka.

— Doskonała partya! — zawołała z żartobliwą powagą Terosa. — Wdowiec z siedmiorgiem dzieci, świetnymi dochodami z niedopałków świec i tym podobnych źródeł. Niech mi się tylko oświadczy, a za tydzień ślub.

— Bardzo dobrze zrobisz — odparła Pepita i wstała od toalety. — A teraz wracając do rzeczy: Idziesz, czy nie idziesz dziś do Mercedes?

Teresa zmrużyła jedno oko, wykrzywiła usta i wstrząsając przecząco głową, a jednocześnie wskazującym palcem prawej ręki, rzekła komicznie zmienionym głosem:

— Nie! nie! I — nie!

— No, to zobaczymy! — wykrzyknęła Pepita, kierując się z gniewem ku drzwiom. — Powiem to mamie, a ona ci rozków przytrze... Tegoby tylko brakowało, żebyś ty tu rządziła. Pycha, kochaneczko, pycha zaprowadzi cię do piekła, choćbyś się uczyła sutanny Ojca Rodrigueza...

— Dzięki za przestrożę, kuzyneczko miła — odparła Teresa... — Ale czy przypadkiem znane ci jest przysłowie o kotle i o garnku?

I powiedziawszy to, zabrała się z wielką pilnością do zeszywania owych pokracznych rękawów.

III.

Zły humor nie odebrał Pepicie jej zwykłego apetytu; nadąsana i milcząca, zjadła pomimo to na drugie śniadanie trzy kotlety i dwie pary smażonych jaj. Jej perłowe ząbki, nieco rzadkie, zdawały się chcieć pomóc na niewinnej cielęcinie, za nurtujące ich właścicielkę kłopoty.

Przeciwnie Teresa, wesola i rozmowna, jak zawsze, opowiadała ciotce o uroczystości, jaką nazajutrz urządzały *Córki Maryi*, a poczciwa Donna Augustia słuchała z zajęciem, wtrącając od czasu do czasu uwagę, należąca do kategorii tych, które się pospolicie określa, jako będące ni przypiął, ni przyłatał.

O bileciku Mercedes nie było mowy.

— Będzie co widzieć! — rzekła w końcu Donna Augustia. — Dwadzieścia starówek na raz przystępujących do Komunii.

— Nie dwadzieścia, ciociu, pięćdziesiąt.

— Nie może być! — wykrzyknęła Donna Augustia.

Jedną z charakterystycznych cech tej zacnej niewiasty było to, że się nieustannie czemuś dziwiła, powtarzając „nie może być,” podnosząc brwi i otwierając usta stosownie do swego zdumienia.

— Pięćdziesiąt! — powtórzyła z taką miną, jak gdyby się dowiedziała, że krokodyle z Nilu powędrowały raptem do Gwadalkiwiru. — No, to już i ja muszę pójść koniecznie. O której ty pójdziesz Tereniu?

— Ja pójdę bardzo wcześnie z Rositą Pinna — odrzekła Teresa. — Pójdę przed szóstą; bo może tam co trzeba będzie jeszcze pomódz.

— No, to my z Pepitą przyjdziemy później. Nieprawdaz, córeczko?

Córeczka wpatrzyła się w talerz i odparła sucho:

— Nie wiem jeszcze, czy pójdę. Jestem trochę zakatarzona.

Donna Augustia wpadła znów w podziw, usłyszawszy o katarze Pepity, a Teresa popijając kawę małymi łykami, uśmiechnęła się nieznacznie i rzekła z najniewinniejszą w świecie miną:

— W takim razie powinnaś się położyć wcześniej i zapociec.

Pepita przyjęła złośliwą uwagę kuzynki z przyniatającym spokojem, poprzednikiem wielkich burz, i jadła dalej w milczeniu.

W pół godziny potem Teresa w mantilli, zarzuconej z tym naturalnym wdziękiem, który jest szczytem artyzmu, kierowała się ku domowi Rosity Pinna. Za nią szła stara służąca, imieniem Vincenta, i dźwigała ogromny kosz z bielizną i ubraniem, przeznaczony na jutrzejsze podarunki dla ubogich staruszek. Wszystko było uszyte ręką Teresy, która teraz chciała podzielić owoce swej pracy na równe części przy pomocy Rosity Pinna, vice-sekretarki stowarzyszenia i swej serdecznej przyjaciółki.

Zdarza się często, że imię osoby nieznannej daje nam o niej mylne pojęcie na zasadzie pewnych właściwości, przywiązanych do tego uznania. Trudno w istocie wyobrazić sobie Blankę śniadą brunetką, lub Anielę poźótkłą ze złości jędzą, a Brygidę elegancką damą. Coś podobnego miała miejsce z Rositą Pinna. Słyszac jej kwieciste, zdrobniałe imię, zwłaszcza w ustach tak młodzieńcych, jak Teresy i Pepity Ordenez, myślało się o niej mimowoli, jako o rówieśnicy tych dwóch panienek.

Tymczasem vice-sekretarka *Córek Maryi* mogła była śmiało być ciotką samej świętej Anny. Wiek jej, jak wiek piramid egipskich, ginął w czasach przedhistorycznych.

Lata uczyniły z niej prawdziwą mniszkę, ze wszystkimi wielkimi cnotami, drobnymi wadami i nieszkodliwymi śmiesznościami, które są właściwością tych służebnic Pańskich. I byłoby jej lepiej z pewnością w murach klasztornych, niż wśród świata, bo świat nielitościwym jest dla podobnych istot. Hołdując przedewszystkiem formie, ślepym bywa na treść i nigdy ich ani ocenić, ani zrozumieć nie umie.

Wyśmiewano się z vice-sekretarki, że pisała Józefa przez *u*, ale nikt nie zachwycał się tem, że tych sto z okładem szematów i kopert, zapisanych było przy świetle łojowej świeczki, u wezglowia konającej biednej wyrobnicy, którą Rosita Pinna pielęgnowała przez trzy noce z rzędu, podczas gdy rzeczywista sekretarka, do której należało rozpisać i rozesłać owe listy, bawiła się w teatrze i na balu.

Żartowano z jej słabostki ujmowania sobie lat, ale nikt nie spieszył z wyjawieniem, ile w tych ujętych latach mieściło się poświęceń, milczących ofiar i łez takich, jakie tylko z serc szlachetnych płyną, bo nie nad własnymi bólami wylewanych.

Krytykowano ją, że całe dnie prawie spędza po za domem, a nikt nie chciał zrozumieć, że ta biedna starowina, której nikt nie kochał, była zdolną ukochać świat cały; że w jej pustem, samotnem mieszkaniu ogarniała ją nieprzeparta tęsknota za życiem rodzinnem; że szukała sierot, aby je obdarzyć ciepłem matki, matek, aby im udzielić starań córki, i Boga, ojca wszystkich, aby u stóp jego zaczerpnąć sił do spotkania się ze swem smutnem, monotonnem, zawsze samotnem jutrem. O! bo potrzeba sił, aby nie upaść pod najcięższym, najokrutniejszym z krzyżów, który się zowie samotnością duszy!

Ach! tak. Rosita Pinna była niewątpliwie, według uszczypliwego określenia Pepity, zeszlą różą; ale taką, która zachowała całą swą woń!

Świat jednakże, bardziej płochy, niż zły, bardziej płytki, niż przewrotny, oddawał do pewnego

stopnia sprawiedliwość cnotom Rosity, co mu nie przeszkadzało wyśmiewać się z niej. Najarystokratyczniejsze domy otwierały jej na rozcień swe podwoje; najzacniejsze rodziny dopuszczały ją do swej zażyłości, a wszystkie pobożne stowarzyszenia wydierały ją sobie, aby jej powierzać obowiązki, jeżeli nie najzaszczytniejsze, to przynajmniej najpracowitsze. Była w nich ona zawsze albo vice-przewodniczącą, albo vice-sekretarką, albo vice-skarbniczką, była jednym słowem pobożnym wołem roboczym tych wszystkich eleganckich dam. W dodatku biedna Rosita nie posiadała żadnego wykształcenia, ani oglady, a śmiało liczyć się mogła do owych ubogich duchem, którym obiecane jest królestwo niebieskie, niewątpliwie dlatego, że tu na ziemi ludzie dają im na nie zasłużyć przez swoje drwiny i lekceważenie.

Co się tyczy powierzchowności Rosity, to odmalowała ją w kilku słowach z mistrzostwem Velasqueza pewna przekupka, której Rosita przez nieuwagę wywróciła koszyk z jarzynami. Ta kapłanka Pomony, ujawszy się pod boki, zawołała do swych towarzyszek:

— Widziałyście to straszdyło? Co tu się dzieć, że ludziom koszyki wywraca, kiedy to cud, że własną głowę udźwignąć może.

Wistocie twarz i głowa Rosity były w dwójnásób tak wielkie, jak tego proporcjonalnie zdawał się wymagać jej szczuplutki, drobny korpusik, a rozmiary te powiększały jeszcze włosy czarne, mocno już zrudziałe, a twarde i nastroszone w sposób, podający w wątpliwość częste ich stosunki z grzebieniem i szczotką. Ubierała się zawsze w bawełniany habit karmelitanek, z różańcem u pasa i srebrnym medalikiem na piersiach.

Mieszkanie Rosity składało się z pokoiku i alkówki, małych ale bardzo czystych, jakie za trzydzieści reali miesięcznie odnajmowała od biednego kapelana mniszek i staruszki wdowy, jego siostry.

Teresa weszła lekko po wązkich, czysto utrzymanych schodach i przystanąła przed dobrze jej znanymi drzwiami świeckiej mniszki. Zastukała dwa razy—nikt nie odpowiedział; uchyliła trochę drzwi—uderzył ją blask licznych świateł, więc weszła.

Pokoik był pusty. Na starem biurku, błyszczącym od częstego nacierania oliwą, w ślicznej kapliczce z mahoni i szkła stał ładny posążek świętego Józefa na pół metra wysoki. Otaczały go fajansowe wazoniki, pełne kwiatów, i może ze trzydzieści niedopalków świec różnej wielkości i grubości, które wszystkie płonęły. W rękę świętego, trzymającą ukwieconą palmę, wetknięty był jakiś złożony paperek, a na ziemi, na wprost posążka, siedział bardzo przykładnie wspaniały, czarny z białym, kot, nader czysty, i od czasu do czasu podnosił jedną łapkę, jak gdyby chciał obetrzeć łzę rozczulenia, lub uderzyć się w piersi.

Według wyrażenia Petity Ordonez, ten kot był *jedynym krewnym* biednej starowiny, która całą ludzkość chciała mieć za rodzinę, gdyż pojmowała i wprowadzała w czyn znaczenie tych słów, jakie tak często usta jej wymawiały:

— „Ojcie nasz! któryś jest w niebiesiach...”

Kot, który niedość, że był przykładnym, był także i grzecznym, wyszedł na spotkanie Teresy i wyginając grzbiet w kablak, strosząc sierść i pomrukując przyjaźnie, starał się zastąpić w ten sposób swą nieobecną panią. Teresa przywitała go przyjacielskim: „Jak się masz, Canene!” i odbierając z rąk służącej koszyk, rzekła:

— O! ile tu światła przy świętym Józefie. Musiało się stać coś ważnego.

Znała dobrze swoją przyjaciółkę, wiedziała, że jej obawy stały zawsze w stosunku odwrotnym do ilości świec, jakie paliła przed świętym patryarchą, jej osobliwszym opiekunem, do którego się zawsze w swych zmartwieniach i kłopotach uciekała.

Zaledwie Teresa zdążyła rozpakować kosz, w korytarzu rozległy się drobne, szybkie kroki, i do pokoju weszła Rosita z jakimiś papierami w rękę, zgarbiona, wystraszona, z zaczerwienionymi powiekami, na których dwie wielkie, nieotarte łzy świeciły. Pożegnawszy grzecznie wychodzącą właśnie Vicente, zbliżyła się do Teresy i pocałowała ją w milczeniu.

— Co się to znaczy! — zawołała Teresa z niepokojem, patrząc na przemiany to na posążek, to na Rositę.—Co ci jest? Co się stało?

Rosita osunęła się na krzesło z oznakami najwyższego przygnębienia.

— Czy Dolores umarła?—zapytała Teresa, która wiedziała o chorobie biednej wyrobniicy i o zmartwieniu, jakie to sprawiło pielęgnującej ją od trzech nocy Rosicie.

— Nie, jej lepiej. To nie ona umarła! — odrzekła Rosita.

— Więc któż umarł?

Rosita skrzywiła się jak do płaczu i uderzając się papierami w piersi, rzekła:

— Ja!

Teresa uczuła niepohamowaną chęć do śmiechu, ale myśląc, iż Rosita musi być bardzo znużoną i chorą, i przewidywać bliską śmierć, zawołała z serdecznym zaniepokojeniem:

— Co tobie jest, moja droga? Niezdrowa się czujesz? Co ci dolega?

— To właśnie jest najokropniejsze! — wykrzyknęła Rosita, płacząc. — Jestem zdrowa i nic mnie nie boli, a oni powiadają, że umarła i nie chcą mi płacić...

Trzeba tu objaśnić, że Rosita była córką dzielnego oficera, który zginął w bitwie pod Baylen, walcząc w szeregach generała Don Teodora Redinga. Od tego czasu Rosita pobierała od rządu skromną pensyjkę, jedenaście dolarów miesięcznie, która przy

jej nadzwyczajnej oszczędności i małych potrzebach, wystarczała na jej utrzymanie.

Usłyszawszy wykrzyknik Rosity, Teresa musiała znów przygryźć usta, aby się nie roześmiać, a Rosita szlochając, opowiedziała jej, że poprzedniego dnia, to jest pierwszego marca, udała się z charakterystyczną punktualnością wdów i sierot do kasy emerytalnej po swą pensyjkę. Ale trzeba nieszczęścia, że zwykły kasjer, Don Tomasz Saucher, bardzo grzeczny, bardzo uprzejmy, który zawsze jej mówił: padam do nóżek, a raz nawet, wytrzymawszy ją ze dwie godziny, prosił ją siedzieć, że ten nieoszacowany człowiek przestał pełnić swoje obowiązki.

Na jego miejscu siedział jakiś młody urzędnik, bardzo uprzejmy także i bardzo pracowity, tak pracowity, że przez pół godziny nie odwrócił nawet głowy od swego zajęcia, żeby zobaczyć, czy kto nie czeka. Otóż ten pracowity młodzieniec, wzięwszy nareszcie dokumenty, które mu dla zwyczaju przedstawiła Rosita, rzucił na nie okiem, porównał z jakąś olbrzymią księgą i rzekł powoli:

— Niema nic do placenia. Donna Róża Pinna y Menendez umarła 15-go lutego bieżącego roku.

Rosita otwarła oczy i usta: gdyby zobaczyła Ojca Rodrigueza, przebranego za pasterza i tańczącego przy akompaniamencie kastanietów, nie byłaby się bardziej zdziwiła. Minęła długa chwila, zanim głosem najwyższego przestachu i zdumienia wykrzyknąca zdołała:

— Doprawdy?!

— Tak donoszą z dyrekcji głównej z Madrytu, z dołączeniem odpowiedniego świadectwa.

Rosita czuła się pro prostu zdruzgotaną ciężarem tej trumny, którą tak niespodziewanie rząd nad jej głową zamknął; ośmieliła się jednak zaprzeczyć:

— Ależ to musi być jakaś pomyłka!

Pracowity urzędnik schwyił za pióro i zaczął znów pisać, nie troszcząc się już więcej o zgnębiłą sierotę.

— Więc kimże ja jestem! — wykrzyknęła ona, tocząc dokoła przerażonym wzrokiem. — Duszą z tamtego świata, czy co?

— Jeżeli pani jesteś duszą z tamtego świata, to idź prosić księży, żeby msze za ciebie odprawiali — odparł urzędnik.

Tego było już za wiele dla biednej Rosity. Ledwo żywa dowlokła się do domu, dotykając się co chwila, żeby się upewnić, iż nie jest trupem. Zasięgnęła natychmiast rady swego przyjaciela kapelana: oboje po długim i wyczerpującem omówieniu sprawy doszli do tego wniosku, że chociaż Rosicie służyło zdrowie, uśmiercono ją przez pomyłkę i że należało koniecznie ją wskrzesić, a w tym celu udać się osobiście do dyrekcji głównej w Madrycie i tam przy pomocy kogoś wpływowego wybrnąć z tej matni. Rosita długo tej nocy zasnąć nie mogła, a gdy wreszcie zgorączkowana przymknęła powieki, śniło jej się, że chcąc się przekonać o swem istnieniu, przejrzała się w zwierciadle i zobaczyła się zdrową, silną, tłąstą, prawie ładną! Okropność!

— I jakżeż ja teraz pojedę do Madrytu? — mówiła do Teresy, płacząc gorzko. — Pieniądzy nie mam. Kolej mnie darmo nie zawiezie, a choćby i zawiozła... Czy podobna mnie samej kobiecie puszczać się do tego Madrytu, pełnego liberałów?

Rosita wierzyła święcie, że liberaliści, podobni do dyabłów z rogami i ogonami, włóczyli się po Madrycie, napastując na ulicach spokojnych przechodniów.

Teresa wysłuchała całej tej dziwnej opowieści z wielkiem współczuciem, a dowiedziawszy się, że wszystko dałoby się załatwić przez jakąś osobę, mającą stosunki i wpływy u dworu, zawołała z tą szlachetną porywcznością młodości, która każdą swą chęć dobrą uważa za czyn spełniony:

— O! jeżeli o to chodzi, to miej się już za wskrzeszoną!

Urzędowna nieboszczka popatrzyła na Teresę z takim wyrazem, z jakim Marta musiała patrzeć na Jezusa, gdy wyciągał rękę nad grobem Łazarza.

— Ależ to jasne! — ciągnęła dalej Teresa. — Wczoraj przyjechał z Madrytu Pepe Pineda, syn hrabiny. Jest dyplomata, lubią go u dworu i on w dwóch słowach wszystko ci załatwi.

— Czy ty go znasz? — zapytała Rosita.

To logiczne pytanie strąciło Teresę z wyżyn jej dobrych chęci. Nie знаła ona młodego hrabiego nawet z widzenia, a po scenie, jaką miała z Pepitą, z przyczyny dzisiejszego balu, nie mogła liczyć na swoją kuzynkę, jako na pośredniczkę w tej sprawie. Zrozumiawszy więc, że się trochę zagalopowała, odparła zmieszana:

— Ja nie... ale moja kuzynka i ciotka znają go dobrze i są w przyjaźni z jego matką i siostrą, więc one za tobą przemówią.

— Oby je Bóg wysłuchał! Oby ich święty Patryarcha natchnął! — wykrzyknęła Rosita, składając żarliwie ręce. — Ja się o siebie nie troszczę. Bóg dba o lilie na polach i troszczy się o ptaki niebieskie... Co prawda, ja nie jestem ani lilią, ani ptakiem... ale przecież... Zresztą jakoś to będzie... Ot, co mnie zamartwia, to ta biedna Dolores... Biedactwo! taka chora, siedmioro dzieci; jutro mają jej robić operację. Wprawdzie don Manuel leczy ją darmo, niech mu Najwyższy płaci, ale apteka, rosoly, wino, na wszystko to potrzeba pieniędzy... A zkąd ja wezmę? Zastawiłam już moją łyżkę srebrną i nie mam już z tego ani grosza, więc muszę brać z tych dziesięciu dolarów, które miałam odłożone na pogrzeb.

Teresie tży stanęły w oczach. Pochwyciła obie ręce Rosity i wstrząsając je silnie, rzekła:

— Czemużes mi tego wpierv nie powiedziała, Rosito? Takie pieniądze, to rzecz nietykalna, nie na

żaden pogrzeb, bo do tego, daj Boże, jeszcze bardzo daleko, nie twoja już w tem głowa myśleć, za co cię pochowają, ale powinnaś mieć zawsze jakiś grosz na czarną godzinę dla siebie... Widzisz, ja mam przeszło jedenaście dolarów własnej oszczędności. Zbierałam je real do reala, aby w rocznicę śmierci mego ojca zakupić za nie msze święte. Dam ci je dla Dolores. Ta jałmużna równie miłą i pożyteczną dla spokoju jego duszy będzie.

Rosita Pinno zaczęła płakać w sposób, któryby rozczulił aniola, a rozśmieszył człowieka.

— O! niechże ci to Bóg zapłaci, najdroższa! Niechże ci to Bóg odda, Tereniu! — zawołała. — Widzisz ten papierek w ręku Świętego Józefa? To ostatnia recepta doktora. Nie miałam jej czem zapłacić, więc wetknęłam ją w rękę Świętemu i powiedziałam: „Święty Józefie, daj pieniądze.“ I widzisz, jak mnie wysłuchał. Nie wiesz, jaki mnie ciężar z piersi zdejmujesz, byłam poprostu w rozpacz: nie wiedziałam, co począć, gdzie się zwrócić! Dziś jeszcze przez całą godzinę medytacyi zdawało mi się, że widzę przy sobie dyabła, który mi szepcze, jak temu świętemu staruszkowi, o którym mówił ojciec Rodriguez: „Powieś się! Powieś się!“ Ale ja pełna świętej wytrwałości, odpowiedziałam mu:

— Ty się sam powieś.

IV.

Gołębnikiem Najświętszej Panny nazywała Rosita Pinna stowarzyszenie *Córek Maryi*, ale białość niektórych jego gołębic pozostawiała wiele do życzenia. We wszystkich stowarzyszeniach pobożnych, zwłaszcza kobiecych, znajduje się zwykle pewien żywioł arystokratyczny, niespokojny, dominujący, któ-

remu się wydaje, że wyświadcza łaskę Panu Bogu, cześć Mu oddając, i przysługę religii, wprowadzając pobożność w modę.

Panie te nie rozumieją, że nie pobożność do nich, ale one do jej wymagań stosować się powinny, i że nie może być szkaradniejszej hypokryzyi nad tę, która pod pozorami religijnych i filantropijnych czynów, kryje częstokroć nader świeckie i samolubne cele.

Pasowe bileciki Mercedes, oznajmiające o balu „kumów“ rozesłane na wsze strony miasta, sprawiły w *Gołębniku* wielki popłoch, poruszając jednocześnie próżność i sumienie. Jak tu przygotować w tak krótkim czasie jakąś nową efektowną toaletę, zdolną wśród składających ją tiulów i kwiatów, upłatać nie na krótki karnawałowy czas, ale na zawsze serca i osoby przeznaczonych losem młodzieńców? Jak wyjść *pobożnie* z kłopotu, w jaki przewodnicząca wprawila stowarzyszone,znaczając wślad po balowej nocy następujący poranek na ogólną komunię *Córek Maryi*?

Z zacieklą gorliwością mrówek niszczących własne mrowisko, zaczęły natychmiast krążyć po mieście służące, modniarki i szwaczki. Nie było co myśleć o stworzeniu nowych arcydzieł mody w ciągu kilku godzin; można było jednak wprowadzić jakąś świeżą a szczęśliwą odmianę w już istniejących strojach.

I uspokojona pod tym względem, choć nie zadowolona w pełni próżność, zeszła na drugi plan, ustępując miejsca tak trudnej do rozwikłania kwestyi sumienia: i oto zaczęły się krzyżować dyplomatyczne liściki, w których każda z *Córek Maryi*, nie zdradzając się ze swemi myślami, pragnęła wy badać zamiary i poglądy innych co do owego balowo-religijnego konfliktu. Wszystkie zapewniały z budującą jedno-myślnością, że uczestniczenie w jutrzejszej uroczystości było koniecznem; ale niestety, wszystkie cudo-

wnym zbiegiem okoliczności zaczynały doznawać drapania w gardle, chrypki, bólu głowy i innych kataralnych objawów, które im zapewne przeszkodzą wstać jutro o tak wczesnej godzinie, i wszystkie miały już przygotowane cichaczem lekarstwo na te dolegliwości, nie pod postacią ziółek na poty lub synopizmów, lecz przejrzystej, leciuchnej sukni balowej.

Czas jednak naglił; była już czwarta po południu i jedna z najbardziej przedsiębiorczych gołębic, Retita Ponce, odważyła się na osobiste poszukiwania; trzeba było koniecznie podnieść sztandar buntu; żadna nie chciała dać pierwsza złego przykładu, ale wszystkie pały żądzą naśladowania go.

Retita Ponce nakreśliła sobie cały plan kampanii w jednej chwili: udała się wprost do domu Pepity Ordonez i zażądała widzieć się z samą Donną Augustią. Zaczynała ta dama zjawiać się po jakimś czasie jakaś pomieszana i bystre oko Retity odkryło wnet na jej sukni maleńkie nitki różowego jedwabiu.

— Mam cię, ptaszku! — pomyślała, i zdejmując delikatnie końcami palców jedną z takich nitek z rękawa wdowy, rzekła z uśmiechem:

— O! o! to mi wygląda na przygotowania do balu!

Zmieszła się jeszcze bardziej Donna Augustia i odparła ze zwykłą swą zrećnością:

— Ale, gdzież zaś! To, to szarpie... szarpie dla szpitala. Wczoraj prosiła o nie siostra Teodora.

Retita pominęła milczeniem tę osobliwszą terapeutykę, wymagającą szarpi jedwabnych różowego koloru, i powstrzymując śmiech, usiadła obok Donny Augusti.

— Moja droga Donna Augustio — przemówiła z przymileniem, głosem zniżonym, tajemniczym — jestem w wielkim kłopotie i tylko pani swoim rozumem i powagą może mnie z niego wybawić!

— Nie może być! — wykrzyknęła Donna Augustia, mocno zdumiona, tym razem nie bez powodu.

— A tak. Wszak pani zna sir Williama Mackenzie, który całą zimę spędza w naszym mieście?

— Tego wysokiego Anglika z rudemi faworytami?

— Tego samego. Trzeba pani wiedzieć, że próbuję go nawrócić; może biedaczek da się ochrzcić.

— Nie może być? Czy on muzułmanin?

— Nie, ale jest protestantem, co na jedno wychodzi.

— Nie może być.

— Tak, pani. I tak go już przekonałam, że dziś mam się z nim spotkać u hrabiny Pinedo, aby się umówić, kto ma być jego ojcem chrzestnym.

— Nie może być!

— Święta prawda. Ale cóż! Mamie się ułożyło, że nie powinnam być dzisiaj na tym balu z przyczyny jutrzejszej komunii.

— Nie może być!

— I powiada, że pod tym tylko warunkiem mi pozwoli, jeżeli Pepita także pójdzie, bo powiada, iż skoro osoba takiego taktu i rozumu jak pani nie będzie miała nic przeciwko temu, to już to może się stać prawem ogólnem.

O, tajemnice ludzkiego serca! Donna Augustia nie zdziwiła się bynajmniej tym razem, że matka Retity daje jej patent na prawodawczynię, i odrzekła skromnie, lecz spokojnie:

— Nie może być! Twoja mama bardzo na mnie iaskawa!...

— O! bynajmniej. Oddaje pani tylko sprawiedliwość — zapewniała Retita z czarującym uśmiechem. — Ale dlatego potrzeba koniecznie, aby pani powiedziała otwarcie, czy Pepita będzie dziś u hrabiny, czy nie będzie? Bo jeżeli ona będzie, będę i ja, a jeżeli ona nie pójdzie, to ja zostanę w domu, a ten

biedak heretyk zostanie także bez ojca chrzestnego, a może i bez chrztu, a gdyby, broń Boże, umarł nagle, to poszedłby prosto do piekła i miałybyśmy jego duszę na sumieniu.

I Retita, wypowiadając wszystkie te niedorzeczności z największą pewnością siebie, poruszała gwałtownie wachlarzem, jak gdyby pragnęła odpędzić zastępy szatańskie, grożące porwaniem jej katechumena, sir Williama Mackenzie.

— To dopiero zdarzenie! — zawołała zacna wdowa, mocno zafrasowana.

— A widzi pani — odparła Retita, otwierając oczy szeroko. — Często z małych rzeczy powstają wielkie, bardzo wielkie...

— No, no; bo to widzisz, moja Retito, jeżeli ci mam powiedzieć prawdę, mnie tam wcale te bale nie obchodzą. Ale cóż! Mercedes napisała do Pepity, a ta sobie ułożyła, żeby pójść, więc...

— Więc pójdiesz pani na bal! — zawołała Retita, wstając, jak gdyby ta wiadomość była rozstrzygającą wszelkie wątpliwości.

— No, naturalnie. Tylko nie mów o tem ani słowa.

— Niech pani będzie spokojną... Już to ja umiem dochować tajemnicy.

— Pepita nie chce, żeby o tem wiadano. Po co też mają inne zastawiać się nią potem; z tego tylko są nieprzyjemności, a ojciec Rodriguez...

— Ach! ten niezdolny ojciec Rodriguez, do wszystkiego wtrącić się musi. Jak gdyby dlatego, że się należy do towarzystwa *Córek Maryi*, potrzeba było zdawać mu sprawę z każdego kichnięcia.

— No, tak znów nie. Co prawda, ojciec Rodriguez jest trochę wymagającym, ale ja mówię zawsze Pepicie: Trzeba go wysłuchać z uszanowaniem, a potem niech każda robi sobie, jak jej się zdaje.

— Tak i ja też robię, tylko nie zadaję sobie trudu słuchania go, bo to się na nic nie zdało. Och! gdyby kto chciał stosować się do tego, co on mówi! Lepiej odrazu ubrać się w worek, posypać głowę popiołem i nie wylażać ze swego kąta. Tej niedzieli dowodziła mu ciotka Ludwika, że panny muszą bywać w towarzystwie, jeżeli chcą pójść zamąż. Wie pani, co jej odpowiedział?

I Retita, naśladowując przewleklą nieco nosową mowę Ojca Rodrigueza, ciągnęła dalej:

— Zapewne, kochana pani, zapewne. Ale niechano pani zauważy, że nikt nigdy nie kupuje tych materyałów, które są ciągle w wystawie. Gdy się idzie do sklepu, bierze się z tych sztuk, co są schowane. Bo widzi pani, taki materyał wystawowy musi być spłowiwały.

I Retita Ponce, która już od trzydziestu trzech lat rozpościerała się po wszystkich towarzyskich wystawach, nie znajdując żadnego kupca, zacerwieniła się z gniewu, powtarzając te impertynenckie słowa ojca Rodrigueza, jakby z umysłu do niej pite. Następnie pożegnała donnę Augustię i zaczęła obiegać wszystkie znajome domy, opowiadając wszędzie, że Pepita Ordonez idzie z matką na bal, a Teresa będzie im towarzyszyła za wyraźnem pozwoleniem ojca Rodrigueza.

Ożywiły się wielce osowiałe gołębice; katary i chrypki poznikały, jak za dotknięciem różdżki czar-noksiężkiej, a koronki, tiule i kwiaty zaczęły wychylać się z kryjówek na podobieństwo ślimaków, pokazujących zwolna różki po przejściu ulewnego deszczu.

Retita, ukończywszy propagandę, wróciła ucie-szona do domu przygotowywać różne ozdoby, mające jej dopomóc do rozniecenia ognia wiary w mglistej duszy sir Wiliama Mackenzie.

Ze wszystkich kłamstw, jakie tego dnia naga-dała, to jedno miało na dnie cząstkę prawdy, gdyż

wistocie pragnęła Retita zaadministrować sir Willia-mowi jeden z sakramentów, tylko, że nie pierwszy, lecz szósty.

Nie mogąc jakoś do tego czasu znaleźć męża krajowego, zaczęła go szukać już po za granicami Hiszpanii.

V.

Tymczasem Teresa wróciła od Rosity Pinna, zastanawiając się nad tem, dlaczego Bóg daje tyle serca tym, którym udziela tak mało pieniędzy i prze-myśliwając, w jakiby sposób polecić urzędowe wskrze-szenie swej przyjaciółki hrabiemu dyplomacie. Po-średnictwo Pepity było wprost niemożliwem, a i do-bra wola Donny Augusti nie przedstawiała wielkich nadziei. Dobra ta, lecz nierozsądna kobieta, zaśle-piona w córce, ulegała wszystkim jej fantazyom, oraz kaprysom, i nawykła patrzeć jej oczyma, mówiła i postępowała najczęściej wbrew własnemu przeko-naniu, byle tylko ukochanej córeczce dogodzić.

I teraz także Pepita potrafiła usposobić ją nie-chętnie dla Teresy za jej odmowę w sprawie balu. Nie była to więc sposobna chwila do żądania jakiejś przysługi od matki lub od córki, a tem mniej tam, gdzie chodziło o taką lichą istotę, jak Rosita, i takie-go świetnego młodzieńca, jak hrabia Pepe, którzy oboje tworzyli niejako dwa przeciwległe bieguny ca-łego tego zawikłania.

Teresa nie omyliła się wistocie. Przyszedszy do domu, zastała dwie przyjaciółki swojej kuzynki, które, wciągnięte już w sieci zręcznej apostołki sir Wiliama Mackenzie, rozmawiały żywo z Pepitą i Don-ną Augustią. Zaczyna wdowa była zdumiona, że Re-tita tak szybko zdradziła jej zaufanie, a Pepita, za-

gniewana na matkę, że sobie dała wydrzeć tajemnicę, rzucała piorunujące spojrzenia, nie troszcząc się zgola o zbawienie duszy sir Wiliama.

Gdy Teresa weszła, wszystkie odrazu umilkły, bardzo niegrzecznie, i przywitały ją chłodno. Pepita zaczęła szeptać z jedną z przyjaciółek, a Donna Augusta odpowiedziała sucho na kilka jej zapytań i poleciła jej szorstko wycierać lepiej nogi, gdy wchodzi do pokoju z mokrej po deszczu ulicy.

Dotknięta i zasmucona, oddaliła się Teresa w milczeniu do swojej izdebki; czuła ten ucisk serca, właściwy charakterom wrażliwym i wylanym, gdy ich spotka oziębłość i lekceważenie osób, u których szukają życzliwości, a z drugiej strony dręczyła ją myśl, jak fatalnie odbić się mógł kaprys próżnej, źle wychowanej dziewczyny, na losach tak szlachetnej istoty, jak Rosita Donna, i tak nieszczęśliwej kobiety, jak wyrobnica Dolores.

Siedziała długą chwilę na krześle z twarzą w dłoniach ukrytą, gdy obił się o jej uszy trzask zamkniętych raptem drzwi, wykrzyk: „A do licha ciężkiego!” I odgłos jakby jakiegoś szamotania się połączonego z wpeł płacziwem, wpeł gniewnem narzekaniem.

Zdziwiona Teresa otworzyła drzwi swego pokoju i ujrzała w głębi korytarza Krystynę, jedyną służącą domu, która, trzymając w wyciągniętych przed siebie rękach balową spódniczkę z różowej i białej gazy i krepy, i szeroką różową szarfę, w artystyczny związaną węzeł, szamotała się gwałtownie, jakby przygwożdżona do miejsca. Wiatr zamknął raptem drzwi, które wychodziła i przetrzasnął fałdy jej ubrania; a że miała obie ręce zajęte, niepodobieństwem jej było uwolnić się z tego nieprzewidzianego więzienia.

Teresa nie mogła powstrzymać się od śmiechu, na komiczny widok wystraszonej postaci Krystyny,

wynurzającej się z pośród gazowych zwojów i pośpieszyła jej z pomocą.

— Poczekaj, poczekaj! Nie niecierpliw się! — zawołała.

— Bóg zapłać panience! — rzekła Krystyna, odzyskawszy swobodę ruchów. — Jezus Maryja! gdyby tak wiatr, zamiast mojej spódnicy, porwał był te oto falbany i rozdarł, toby mi chyba panna Pepita oczy wydrapała.

— Czy to dziś się w tę suknię ubierze? — zagadnęła Teresa.

— A jakże; w ostatniej chwili dopiero się na nią zdecydowała — odrzekła Krystyna w złym humorze. — Najprzód miała być niebieska, potem biała, potem cała różowa, nakoniec ta... Aż się w głowie kręci od tych kaprysów.

Garderoba Pepity była jedną z najobficiej zaopatrzonych w całym Z*, a że skromne dochody wdowy nie wystarczały na takie zbytki, trzeba było pokrywać je nadmierną oszczędnością w domowym życiu, dochodzącą niemal do skąpstwa.

— A może jeszcze się to wszystko na nic nie przyda — ciągnęła dalej Krystyna — bo słyszałam, jak panni mówiła do panny Pepity, żeby poprosiła panienkę o pożyczanie, nie wiem tam czego, a panna Pepita powiedziała: „Wolę nie iść, a Teresy o nic prosić nie będę?”

Ruszyła ramionami i z mściwem uczuciem źle karmionej, źle traktowanej sługi dorzuciła:

— Niech jej panienska nic nie pożyczka! Dobrze ona panience nieraz dokuczy.

— Ale cóż ja jej takiego miałam pożyczyć? — zagadnęła Teresa.

— Albo ja wiem... jakiś grzebień koralowy, czy co.

— Ach, tak! — wykrzyknęła Teresa.

I jakby ożywiona nagle myślą, wbiegła szybko

do swego pokoju. Krystyna popatrzyła na nią, kiwając głową:

— No, patrzcie, i da jej, czego ta chce—mruknęła. — Ale to zawsze tak bywa, że tłusty polec smarują.

Tymczasem Teresa otworzyła szufladę mahoniowej komody i wyjęła z niej duże safianowe pudzderko, owinięte troskliwie w bibulkę. Wewnątrz pudzderka na tle białego aksamitu, rozkładał się pyszny strój z różowych koralu, wielkiej artystycznej wartości, ze względu na wytworną i delikatną robotę, przypominającą swą delikatnością i wykończeniem chińskie wyroby ze sioniowej kości.

Teresa postawiła otwarte pudzderko na komodzie i długo przypatrywała się jego zawartości, z głową opartą na dłoniach.

Po jakimś czasie stłumione łkanie wstrząsnęło jej piersią i łzy potoczyły się gradem z jej pięknych oczu, zwilżając biały aksamit pudzderka. Ten strój koralowy należał niegdyś do jej matki i był jedyną po niej pamiątką.

Opanowała się przecież wkrótce i jakby powziąwszy jakieś niezłomne postanowienie, wzruszyła ramionami, mówiąc przez zęby:

— Toć i pudzderko było jej własnością.

Następnie złożyła cały strój do dużego kartonowego pudełka i schowała napowrót puste pudełko, pocałowałwszy je wprzód w metalową sprężynkę, na jaką się zamykało. Biedaczka wyobrażała sobie, że całuje w ten sposób ślady rąk swojej matki.

Nie tracąc czasu, udała się na poszukiwanie Donny Augustii i znalazła ją samą w pokoju, zajętą naszywaniem kokardek z różowej aksamitki na białych, atlasowych pantofelkach, niekoniecznie najmniejszych rozmiarów. Zaczna niewiasta popatrzyła przez okulary na siostrzenicę, nie mówiąc ani słowa, i chciała udać rozgniewaną, ale to jej się tylko przez pół

powiodło. Ośmielona tem Teresa, usiadła przy niej na małym stołeczku i rzekła z przymileniem:

— Powiedziała mi Krystyna, że Pepita włoży dziś tę suknię białą z różowem.

— Więc cóż ztąd? — odparła Donna Augustia, nierozbrojona jeszcze.

— Nic — rzekła Teresa, spuszczać głowę. — Przyszło mi tylko na myśl, że do tej sukni bardzo byłby stosownym mój strój koralowy.

I mówiąc to, Teresa drżącą ręką otworzyła pudełko z kosztownymi kamieniami.

Donna Augustia wytrzeszczyła oczy i z pantofelkiem w rękę patrzyła to na siostrzenicę, to na pudełko, które jej ta podawała.

— Miałam zamiar — ciągnęła dalej Teresa — podarować jej to w dzień imienin... Ale gdyby ciocia była tak dobrą oddać jej go teraz, mogłaby się ubrać w niego jeszcze na dzisiejszy wieczór.

Donna Augustia zdjęła okulary, poruszyła trzykrotnie pantofelkiem, naciągniętym na rękę w kształcie rękawiczki, i powtórzyła tyleż razy, głosem wyrażającym podziw, radość i rozczulenie, swój zwykły wykrzyknik:

— Nie może być! Nie może być! Nie może być!

I nie wiedząc, co dalej powiedzieć, klapnęła Teresę pantoflem po plecach i rozplakała się. Teresa, śmiejąc się i płacząc także naprzemiennie, podawała jej wciąż pudełko.

— Dlaczego jesteś taka uparta? — wykrztusiła wreszcie Donna Augustia?

— Cóż robić, moja ciociu! — odparła Teresa pogodnie. — Boleję nad tem, że swoim postępowaniem sprawiam cioci przykrość, ale...

— Ty? mnie przykrość?... Ty, dziecko moje najdroższe! — przerwała Donna Augustia, całując ją z wylaniem.

I chcąc obetrzeć jej łyzy ręką, w której trzymała pantofelek, o mało jej nie wybiła oka. Wreszcie Teresa, aby skończyć tę scenę, uwolniła się z jej objęć i rzekła, odchodząc:

— Więc ciocia odda to Pepicie? Nieprawdaż?

— Nie, nie, nie mogę przystać na to—odparła z żywością Donna Augustia.—Pożyczyć jej chcesz na ten wieczór, to owszem, bo biedaczka aż się paliła do tego garnituru, nie chciała zaś cię prosić... Rzecz prosta, każdy ma swoją dumę. Ale żebyś jej to miała darować, to za wiele... Nigdy na to nie pozwolę...

— Dobrze! Dobrze! Pomówimy o tem! — zawołała Teresa, uciekając, rada, że zapewniła sobie względy ciotki i niepomna, jakim je kosztem zdobyła, mówiąc w duszy ze szlachetnem zaparciem własnego „ja”:

— Bogu dzięki! Jakże uradowana będzie jutro biedna Rosita.

Donna Augustia pobiegła natychmiast do pokoju swej córki i pełna jeszcze rozczulenia, zawołała:

— Patrz! Patrz, córeczko, co ci podarowała Terenia.

Pepita powściągnęła żywe poruszenie zadowolenia i pogardliwie popatrzyła na pudełko.

— Ach, cóż to za złote serce! — wykrzyknęła Donna Augustia w zachwycie. Co to za jedyne dziecko! Do rany ją tylko przyłożyć...

— Wielkie rzeczy! — przerwała Pepita tonem wyższości. — Należało się to oddawna za wszystko, co ma z naszej łaski. A prawdę powiedziawszy, mogła to była zrobić w przyzwoitszy sposób.

— Ależ córeczko!...

— Spodziewam się. Czy to mama nie spostrzegła, że brak puzderka?

— Ależ córeczko!...

— E! mama to nie widzi dalej, niż koniec swego nosa... łatwo się przecież domyśleć, że Teresia przyszła teraz ochota pójść na bal i chce się ze mną pogodzić. Ale mogę ją upewnić, że nie pójdzie. Wołałabym sama zostać w domu, a raz jej te muchy z nosa wypędzić.

Na tem ograniczyła się cała wdzięczność Pepity. Przy obiedzie raczyła półgębkiem bąknąć jakieś słówko podzięki kuzynce, i wstała wcześniej od stołu, gdyż już fryzyerka nadeszła i nie było czasu do stracenia.

Teresa skorzystała z sam na sam z ciotką, aby jej polecić sprawę Rosity, a donna Augustia, pełna jak najlepszych chęci, zanotowała sobie na kawałku papieru wszystko, co się do tego odnosiło. Żyła ona w wielkiej przyjaźni z hrabiną Pineda, matką młodego dyplomaty; mogła więc Teresa spodziewać się po myślnego skutku obietnicy.

Przez więcej niż dwie godziny w domu pani Ordonez panował zamęt nie do opisania. Nareszcie wykluła się z tego chaosu i przygotowań Pepita, jak motyl z poczwarki, i ukazała się w całym blasku swych wdzięków zachwyconym oczom Donny Augustii i Krystyny.

Gustowny, lekki strój, którego zręcznie połączone barwy, biały z różową, nadawały całości subtelnej delikatny ton jutrzenkowego kolorytu, podnosił nadzwyczajnie młodzieńczą świeżość jej urody. W złocistych lokach tkwił artystycznie wpięty koralowy grzebień, a reszta garnituru kładła się na białej szyi i ramionach, jak ciemniejsze odcienia tej różowości, w jakiej cała jej postać zdawała się nurzać.

Donna Augustia, cofnąwszy się parę kroków w tył, przyglądała jej się w zachwycie, poczem pobiegła po Teresę, aby i ona spaliła kadzidło uwielbienia przed swą kuzynką.

Pepita pozwalała się oglądać z pobłażliwym uśmiechem łaskawej na swych czcicieli bogini. Wzię-

ła wachlarz z białych piór, inkrustowany koralami, a należący także do garnituru, i wachlując się nim zwolna, w postawie w pół sennej odaliski, spytała:

— Jakże ci się wydaje?

Teresa popatrzyła na nią przez chwilę ze szczerym zachwytem i wykrzyknęła:

— Ależ prześliczna jesteście, kuzyneczko!

I rzeczywiście trudno byłoby się domyśleć w tej idealnej, powłóczyście poglądującej istocie tej samej osoby, która przed kilku godzinami z tak ziemskim apetytem spałaszowała trzy kotlety i dwie pary smażonych jaj.

Brakowało jednak ostatniego dotknięcia pędzla do dokończenia arcydzieła: na czole Pepity sterczały jeszcze dwa papiloty, które w ostatniej chwili dopiero miały być przypieczone żelazkiem i zdjęte, aby utworzyć dwa wdzięczne loczki, obowiązkowy dodatek modnego wówczas czesania.

Pełna dobrych chęci, ofiarowała się Teresa do końca tej ważnej czynności, ale bogini nie przyjęła jej usług, mówiąc, że Krystyna robi to lepiej.

Tak odprawiona, wróciła Teresa do swego pokoju, a i donna Augustia poszła zająć się własnym ubiorem, który zazwyczaj bywał dosyć zaniedbanym; należała ona bowiem do tego pospolitego typu matek eleganek drugiego rzędu, które całe zatopione w swych córkach, ukazują się u ich boku w krzywo nałożonych stroikach na niedbale uczesanych włosach i w przybrukanych rękawiczkach.

W całym domu zapanował znów względny spokój, a z uderzeniem dziewiątej godziny zjechał najęty powóz, mający zawieźć obie panie do hrabiny.

W chwilę potem przeraźliwy krzyk rozległ się po wszystkich pokojach. Przeżona Teresa, poznawszy głos Pepity, pobięła do jej pokoju, do którego w tej samej chwili drugimi drzwiami wpadła Donna Augustia na w pół ubrana. Okropny widok

przedstawił się ich oczom: Pepita siedziała przed toaletą na w pół zemdlona, wydając przeraźliwe okrzyki, a przed nią stała Krystyna blada, z przerażeniem i osłupieniem wpatrując się w gorące szczypce, na końcu których widniał zlocisto-blond loczek. Silny odór spalonych włosów rozchodził się po całym pokoju.

Donna Augustia i Teresa rzuciły się ku Pepicie, myśląc, że jest ciężko oparzona; nie było jednak najłżejszego śladu na jej białym czole. Krystyna, zagałpiwszy się na koralowy grzebień, tak gorliwie przypiekła papilot zbyt gorącymi szczypcami, że został jej w ręku.

— Aj, aj, aj! — wrzeszczała Pepita, jak gdyby ją zarzynano.

— Uspokój się, moja córeczko! — pocieszała ją Donna Augustia. — Może to się da jeszcze jako naprawić.

Ale łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Czoło z jednej strony wyglądało jakby łyse, a z drugiej niby na urągowisko rozpościerał się na niem duży skręt włosów, który szczęśliwie uniknął katastrofy.

— Niepodobna! Niepodobna! — krzyczała Pepita. — Jestem okropna... Oszpecona... Nie mogę się pokazać!...

— Uspokój się, Pepito! — rzekła Teresa. — Zamiast dwóch loczków, zrobię ci jeden na środku czoła i wszystko będzie dobrze.

Jak tonący brzytwy, tak Pepita chwyciła się tej nadziei, ale napróżno paluszki Teresy chciały wprowadzić w czyn ten pomysł, który miał za sobą jeszcze zaletę oryginalności; efekt był tak śmiesznym, iż sama jego twórczyni zaledwie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Pepita, spojrzawszy w zwierciadło, odrzuciła ją gniewnie.

— Cóżes ty ze mnie zrobiła? Stracha na wróble! O, Boże, Boże!

I straciwszy wszelką nadzieję, zaczęła szarpać na sobie przejryste gazy, przyczem korale porozłatywały się po ziemi. Płaczącą, rzucającą się w gwałtownym ataku nerwowym zaniesiono do łóżka, gdzie około jedenastej uspokoiła się trochę i wówczas zaczęła błagać matkę, aby natychmiast wypędziła Krystynę, mimowolną sprawczynię nieszczęścia.

W pół godziny potem Krystyna opuściła dom z węzłkiem swoim pod pachą, powiedziawszy jednak Donnie Augustii:

— Niech pani posłucha, co powiem: Zrobiłam to niechcący, ale wcale tego nie żałuję. Żałuję tego, żem pannie, zamiast papilota, czubka nosa nie nadpiekła, bo miałyby przynajmniej pamiętkę po mnie na całe życie.

VI.

Popita, wyłościwszy się i wyplakawszy nalezycie, znalazła wreszcie ulgę w objęciach Morfeusza i spała bez przerwy do godziny dziesiątej zrana. Blask jasno świecącego słońca, wdzierający się przez spuszczone firanki, obudził ją wreszcie; otworzyła prawe oko, chciała otworzyć lewe, ale jej to przyszło z trudnością, z pewnym bólem.

Wystraszona pobiegła do zwierciadła i przekonała się, że ma silnie zaczerwienioną i spuchniętą powiekę, na skutek tworzącego się na niej jęczmień. Był to zapewne wynik wczorajszych spazmów i płaczów, a także potwierdzenie przysłowia, że nieszczęście nigdy samo nie przychodzi.

Ujrzawszy się tak podwójnie i fatalnie oszpeconą, Pepita pomyślała, że wielu popełniłoby samobójstwo dla mniejszych powodów; nie chcąc jednak

powiększać liczby buntowników śmierci, ograniczyła się tylko na wcale nie eleganckiem zakłębieniu i uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak podać się za ciężko chorą przez cały czas trwania tego niefortunego na oku dodatku.

Strój Pepity nie kosztował jej tego dnia ani dużo czasu, ani trudu. Włożyła wełniany kaftanik nowy jeszcz, ale brudny, spięła szpilką na piersiach wystrzępioną, szkocką chusteczkę, nogi obuła w przydeptane pantofle, ohydnie zniszczonymi królikami okładane, i przyglądziwszy tylko z wierzchu nieruszone od wczoraj arcydzieło fryzyerskiej sztuki na głowie, które bardzo po całonocnem obcowaniu z poduszką ucierpiało, zostawiła na czole wpół rozkręcony loczek — sierotę, który zdawał się melancholijnie za swym straconym towarzyszem oglądać.

Pepita nie spodziewała się tego dnia nikogo, a nie była ona z tych kobiet, które przez wrodzone poczucie estetyki i piękna dla samych siebie, lubią staranność i elegancję w stroju. W niej działała tylko próżność, a gdy nie liczyła na obudzenie zachwyty lub zazdrości, doprowadzała zaniedbanie aż do niechlujstwa, co jest zresztą zjawiskiem dość częstem wśród tych wykwintnych dam, ukazujących się w teatrach i salonach, jakby je ręce wróżek ubierały.

Teresa bardzo wczesnie udała się do kościoła na uroczystość Córek Maryi z Rositą Pinna, która po nią przyszła. Donna Augustia kręciła się po domu, starając się ucywilizować jakąś okropną Roteniankę ¹⁾, przyjętą na gwałt na miejsce Krystyny, a Pepita, zapewne dla odpoczynku po tak długim wywczasowaniu się, ułożyła się na sofie w gabinecie i zaczęła pochłaniać jakieś romansidło w pięciu tomach, jedno

¹⁾ Mieszkanekę miasteczka Rota, w okolicach Kadyksu, pomiędzy San-Lucas i Puerta de Santa Maria. (prz. tt.)

z tych, jakie tak bardzo rozpalają wyobraźnię szwaczek i panien służących.

Romans nosił melancholijny tytuł: „Grób Olimpii,” i Pepita ze wzrastającą ciekawością śledząc za losami rycerskiego jej bohatera Artura i już najprzód, bo w tytule skazanej na śmierć bohaterki, do tego stopnia przejęła się ich straszniemi przygodami, że nie spostrzegła przez wychodzące na ulicę okno gabinetu zajeżdżającego eleganckiego powozu.

Gabinet ten, znajdujący się na dole, miał tylko jedne drzwi, wprost z *patia* i w nim przyjmowała zwykle Donna Augusta pomniejsze dzienne wizyty.

Dzwonek w sieni zadzwieczał w chwili, gdy przerażona Olimpia ujrzała w gotyckich drzwiach swej komnaty jakąś bezkształtną rękę, trzymającą zakrwawioną głowę... Czyja była ta ręka? Czyja była ta głowa? I jakby w odpowiedzi na te pytania, ujrzała Pepita, że drzwi gabinetu uchylają się i że wsuwa się przez nie najprzód ciemna bezkształtna ręka, trzymająca szczotkę, a potem głowa, nie zakrwawiona, choć zamorusana i uśmiechająca się, jak kiedy znajdujemy to, czego szukamy. Nareszcie drzwi otwarły się całkiem, ukazała się w nich owa Rotenianka, następczyni Krystyny, mówiąca do kogoś, znajdującego się jeszcze w *patio*.

— O! nie powiedziałam, że tu jest. Przecie cały ranek siedzi już tu i uczy się a uczy...

Zaszleściła jedwabna suknia — o nieszczęsny losie! Pepita pozazdrościła Olimpii przygotowanego już dla niej grobu, żeby mogła się w nim ukryć, i tak, jak ta tkliwa dziewica zmartwychwstać we właściwym czasie... Bo oto miała przed sobą Mercedes, swą dystygowaną przyjaciółkę, a za nią jej brata, młodego hrabicza-dyplomata, z cylindrem w urękawiczowanej dłoni, eleganckiego, *correct*, jak lordowie w Windsorskim pałacu. Z tyłu, niby szpetna plama na tym świetnym obrazie, rysowała się postać Rotenianki, ze szczotką w ręku i rozwartą gębą, przy-

patrującej się ogłupiałemi oczyma arystokratycznej parze.

Są położenia niepodobne do opisanego i położenie Pepity w owej chwili było jednym z takich. Pepita i Mercedes zrozumieli to i ta ostatnia, aby ją wybawić z kłopotu, zaczęła ją witać, całować serdecznie, mówiąc:

— Ach, najdroższa, cóż się to stało? Jakżeś nas zaniepokoila swoją wczorajszą niebytnością...

— Nie mogłam..., zakatarzyłam się... kaszlę... — wykrztusiła Pepita, przykładając rękę do gardła, w którym jej rzeczywiście zaschło. — Ale doprawdy... the! the!... państwo mnie tak zastajecie... the! the! Zaledwie wstałam... Nie zdążyłam się jeszcze ubrać!... the! the!... I w dodatku ten jęczmień na oku... Przebacź, moja najdroższa Mercedes... Ta dziewczyna niema o niczem najmniejszego pojęcia. Powinna była uprzedzić.

I podszedłszy do Rotenianki, którą elegancya Mercedes i jej jedwabie i kawaler wprost zamagnetyzowały, wrzasnęła, nie mogąc pohamować gniewnego uniesienia:

— I czegoż tu stoisz jeszcze, jak słup? Idź, powiedz pani, że jest tu hrabia de Pineda i jego siostra.

Rotenianka klapnęła się po szerokiej gębie z czysto wieśniaczą prostotą i wykrzyknęła:

— Widzicie państwo! Jak tylko ich zobaczyłam, zaraz sobie powiedziałam: hrabiowie, albo co?

— Ależ, wynoś się raz! — krzyknęła Pepita, bleдную i czerwieniejąc się naprzemiannie. — Darujcie państwo... To jakieś stworzenie z lasu... Jesteśmy bez służby. Wszyscy się porozchodzili... A ja taka cierpiąca... Ach! Pepito... siadaj pan, proszę; połóż pan kapelusz, jeżeli łaska... Boże, co za wstyd... Żebyś mnie pan w takiej chwili zobaczył.

I z zapuchniętego oka Pepity strzeliła zalotna strzała, której zadaniem było ranić śmiertelnie młodego hrabiego. Był on istotnie wart trudu: średniego wzrostu, pięknie zbudowany, o regularnych, sympatycznych rysach i błękitnych oczach, patrzących na wpeł badawczo, wpeł żartobliwie, miał w całej swej postawie to coś nawskroś dystygowanego, tę elegancją a niedbałą swobodę, która przyswoić się nie da, bo zdaje się być wrodzoną i właściwą tym, co się urodzili i wychowali w sferach wyższych. Spół sposób jego mówienia był trochę powolny, miękki i jakby zczudzoziemczący, ale nie pozbawiony pewnego oryginalnego wdzięku. Był on nadto młodzieńcem bardzo inteligentym i rokującym świetne nadzieje, kochał gorąco matkę i siostrę, i pomimo, że był tak młodym jeszcze i rzuconym w wir wielkoświatowego życia, przekładał nad nie ciche rozkosze domowego ogniska, a posiadał ten dar tak rzadki w jego wieku, że umiał rozróżnić prawdziwą wartość od powierzchownego blasku.

Pepito i Mercedes zaczęli oświadczać Pepicie swój wielki żal, jaki im jej nieobecność sprawiła, a ona odpowiadała na te komplementy z przymusowym uśmieśkiem, zajęta wciąż rozprutym na łokciu rękawem szlafrocza i oplakany stanem pantofli, które starała się ukryć, jak mogła, pojmując instynktownie, iż one same wystarczyłyby do stłumienia miłosnej iskry w najbardziej zapalnym sercu.

Zeszła wreszcie Donna Augustia; powtórzyły się wymówki i komplementy i po półgodzinnej rozmowie Pepita rzekła raptem, jakby przypominając sobie dopiero to, co od dwudziestu czterech godzin nie przestała zaprzęcać jej myśli:

— Ale, nie powiedziałaś mi jeszcze, Mercedes, kto losem przypadł mi za kuma?

Brat i siostra zamienili szybkie spojrzenie. Mercedes odkaszlnęła lekko tym specjalnym kaszelkiem, który poprzedza zwykle kłopotliwe odpowiedzi, a Pe-

pito zaczął bardzo uważnie przypatrywać się spiczastym końcom swych lakiereków.

Pepita, nieco wystraszona tym nieobiecującym początkiem, powtórzyła pytanie:

— Wolałabym, żeby ci to sam wybraniec losu powiedział—rzekła wreszcie Mercedes.

— Nie, nie, ty mi musisz powiedzieć!—nagliła Pepita.

— No, to zgaduj...

— Daj mi jakąś wskazówkę...

— Ktoś, co cię bardzo kocha!

— Boże! — rzekła Pepita i rzuciła na młodego hrabiego zabójcze spojrzenie owego półtora oka.

— I zawsze do ciebie wdycha...

— Czyż są tacy?

— Ty chyba wiesz najlepiej. Ale ze świecą nie znalazłabyś takiego kuma, uprzedzam cię.

— Tak bardzo w moim guście?

— Tego ci nie powiem. Ale że w jego, to pewna.

Mercedes zakaszlała się znów; hrabia się roześmiał, wtem drzwi otwarły się znów i Rotenianka wetknęła głowę, mówiąc:

— Proszę pani, tu jest jeszcze jeden...

— Kto taki? — zapytała niecierpliwie Donna Augustia.

— Don Recaredo Conejo.

— Twój kum!—rzekła Mercedes, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Pepita doznała takiego wrażenia, jak gdyby spała nagle ze szczytu wysokiej wieży ze wszystkimi swojemi złudzeniami i zdążyła zaledwie wyszeptać:

— Co za okropność!

Wtem do pokoju wszedł uśmiechnięty, zadowolony, świecący potężną łysiną Don Recaredo Conejo.

VII.

Dla lepszego zrozumienia dalszego przebiegu tej prawdziwej i prostej opowieści, musimy dać czytelnikowi pobieżne pojęcie o sposobie ciągnięcia losów „kumostwa” tak, jak się to odbywało w domu hrabiny Pineda.

Zwyczaj ten, tak rozpowszechniony w Andaluzji w przedostatni czwartek karnawału, wydaje nam się być zabytkiem starodawnych *estrechos* — nazwy przechowywanej jeszcze w niektórych prowincjach — jakie się odbywały w wigilię Trzech Króli. Już na dworze Don Martín, króla Aragonii, spotykamy się z tą rozrywką, nader gorliwie uprawianą za Filipa III i IV-go, a która dała sposobność Lopezowi de Vega, Morecie, Cervantesowi, Calderonowi i tylu innym, a nadewszysztko uszczypliwemu Quevedzie do układania wdzięcznych i dowcipnych „motów,” a jakby dziś powiedziano kupletów, z których pewna część przechowuje się jeszcze w Bibliotece narodowej.

Są dwa sposoby ciągnięcia losów: bierze się pewna ilość wstążek jednakowego koloru, odpowiadająca liczbie par obecnych na zebraniu. Wstążki owe przewiązuje się w środku chustką, a oba końce rozdaje się do trzymania z jednej strony paniom z drugiej panom. Na umówiony znak rozwiązuje się chustka i każda wstążka łączy jakąś damę z jakimś kawalerem, wytworząc pomiędzy niemi rodzaj salonowego kumostwa: przyczem jest obowiązkiem kuma ofiarować swej kumie podarunek, wskazany w wierszyku, wyciągniętym także na traf.

Drugi sposób dłuższy, ale pomimo to ogólniejszy, polega na ciągnięciu losów. Piszą się tu nazwiska pań i panów na jednakowych karteczkach, zwija się je w trąbkę, i umieściwszy je w dwóch koszykach, daje się do ciągnięcia. Podobierane losem pary wyciągają następnie inne kartki, wskazujące wspomniany już podarek i tańczą tak zwany „taniec kumów,” bardzo ładny i urozmaicony.

Tak postąpiono w domu hr. de Pineda i okrutny los zażartował sobie z Pepity, przeznaczając jej za kuma podtatusiałego i śmiesznego Don Recareda Conejo¹⁾. Stateczny ten kawaler, pięćdziesiąt pięć lat liczący, znany był z erudycji, którą czerpał w pod-ręcznej Encyklopedyi, z którą popisywał się przy każdej sposobności, nie troszcząc się wiele o właściwe zastosowanie owoców swej wiedzy, z niewinnej manii pisywania czułych sonetów i tkliwych elegij do różnych okrutnych Laur i Eleonor, które nigdy nie chciały w nim uznać swego Petrarki i Tassa i wreszcie z nadzwyczajnej obawy przeciągów, stawiającej go często w trudnem położeniu pomiędzy obowiązka-mi galanteryi a wymaganiami higieny.

W ostatnich czasach jednak nielitościwie dotąd bóstwa: figlarny Kupido i ślepe Fatum, okazały się dla niego łaskawsze, czyniąc go ubiegłego wieczoru w domu hrabiny kumem Pepity Ordenez, do której wzdychał skrycie oddawna i całe libry papieru rymowanemi opisami jej wdzięków zapełniał.

Krażyła wprawdzie pogłoska, że nie względem tych bóstw, lecz złośliwości niektórych śmiertelnych, chcących dokuczyć Pepicie, zawdzięczał Don Recaredo swe niespodziewane szczęście. To pewna, że jeżeli była w tem jakowaś podejrzana niesprawiedliwość w ciągnięciu losów, ani Mercedes, ani jej brat nie mieli w niej udziału; przeciwnie, zafrasowali się tem bardzo i pośpieszyli dlatego nazajutrz po balu do niewiadomej swego szczęścia wybranki, aby jej choć trochę tę niemiłą niespodziankę ośłodzić.

Wszedł więc Don Recaredo, rozpromieniony, ubrany ze szczególniejszą starannością, w jasnych spodniach i rękawiczkach, w czarnym tużurku, z zatkniętą w butonierce biało-niebieską wstążeczką krzyża Karola III-gó. W ręku niósł wspaniałą, pasową

¹⁾ Postać ta występuje i w innej powieści autora p. t. „Kawka,” z którą dalej zapoznamy czytelników (prz. tk.)

kamelię, a w środku jej umieścił bardzo kunsztownie owe dwie karteczki, które jego kumostwo z Pepitą potwierdzały.

Powitawszy z uszanowaniem Donnę Augustię, a po przyjacielsku Mercedes i jej brata, zbliżył się do Pepity, i kładąc jedną rękę na sercu, drugą podał jej kamelię z temi słowy:

— Pozwól, piękna Pepito, abym za zezwoleniem twej szanownej matki, ofiarował ci w tym kwiecie wyrok wróżek...

Mercedes i Pepito parsknęli mimowolnym śmiechem, a Pepita, wściekła na wróżki, które jej takiego figla wyplatały, odparła:

— Przestań pan, Don Recaredo... Zostaw wróżki w spokoju. Mogły się były trochę łaskawiej ze mną obejść...

— Ale nie ze mną, urocza Pepito, i za to składam im dzięki stokrotne.

— Bardzo na to zasługują... Dały panu jednooką kumę.

— Jednooką? — powtórzył Don Recaredo.

I spostrzegłszy dopiero teraz spuchnięte oko Pepity, z którego strzelał ku niemu błysk źle hamowanej złości, dodał naiwnie:

— A prawda!... to jest — poprawił się wnet, zawstydzony swą niegrzeczną szczerością — to jest prawda, że dość było jednego słońca na tem niebie i dlatego zaćmiło się drugie. Ale jeżeli mowa o jednookich — mówił dalej, pogrążając się w otchłanie swej erudycji — to jednookim był słynny wódz Hannibal, jednooką księżniczką Eboli, najpiękniejszą dama swego czasu. Wprawdzie kryła to za pomocą loka, który spuszczała zawsze na uszkodzone oko.

— Przepraszam cię, Don Recaredo — wtrącił młody hrabia. — Niejednokrotnie widziałem w Madrycie w domu Pastrany, portret księżniczki, jej prababki i niema na nim żadnego loka. Jest tylko okrągły plaster, zakrywający jej prawe oko.

— Pozwól mi powątpiewać o tem, drogi hrabio — odparł Don Recaredo, który wierzył święcie w nieomyślność swej Encyklopedyi. — Ale, niech i tak będzie... To nie zmienia postaci rzeczy, że księżniczka Eboli była jednooką, a o to nam w tej chwili chodzi... Jednookim był także infant Don Juan, jednookim murzyn Muza.

— Na miłość Boską, Don Recaredo! — wykrzyknęła Mercedes. — Skończ-że pan raz z wyliczaniem jednookich, bo do czegożby to doszło, skoro już porównałeś Pepitę z murzynem Muzą?

— Pozwólcie mi jeszcze państwo wspomnieć Kamoensa. Nikogo więcej, tylko słodkiego Kamoensa, który śpiewa:

Oto niewolnica,
Co mnie uwięziła...

I deklamując to Don Recaredo, udał jednocześnie rolę *niewolnicy* i *uwięzionego*, wskazując naprzemiany na Pepitę i na siebie.

— Dajże pan pokój! — zawołała *niewolnica*, coraz bardziej rozdrażniona. — Gdybym ja pana uwięziła, tobym pana zamknęła tak, iżbyś nie mógł odychać!

— Zamknij mnie w swoim sercu, urocza Pepito, a przyrzekam ci, że obejdę się bez tlenu i wodoru...

Pepita chciała zaprotestować przeciw tej miłośno-chemicznej analizie powietrza, gdy drzwi uchyliły się znów i Rotenianka wetknawszy głowę, spojrzała na Don Recareda z porozumiewawczym wyrazem, pytając:

— Czy już?

Zmieszał się trochę Don Recaredo i odpowiedział zażenowany:

— Tak... nie... czekaj... Dobrze!...

I widząc, że Pepito i Mercedes patrzą na niego

zdziwieni, Donna Augustia z osłupieniem, a Pepita tak, jak gdyby mu chciała wydrapać oczy, dodał, zwracając się do wdowy:

— Szanowna pani! Odzywam się do ciebie tak, jak Temistokles do Eurypiadesa przed bitwą pod Salaminą: „Bij, ale słuchaj!” Wyznaję, że popełniłem czyn zdrożny, wydając rozkaz legalnej służebnej pani, ale nie potępij mnie pani przed czasem... Po-
czekaj chwilę...

Czekanie to nie trwało długo. Drzwi silnie kopnięte otwarły się na rozcież i ukazała się w nich sapiąca Rotenianka, która w obu rękach niosła olbrzymią tacę słodczy, zakończoną tkliwą alegoryą z kolorowego cukru. Biała gołąbka wielkości sporego wróbla siedziała na skale z ananasów, a u jej stóp leżała rozciągnięta figurka myśliwca, przesytego nawskroś olbrzymią strzałą z własnego kotczana, przewieszzonego przez ramię. W jednej ręce trzymał umierający Nemrod z cukru łuk jeszcze napięty, a w drugiej podłużny pasek papieru, na którym złotymi literami wydrukowane były następujące wiersze, z podpisem ich autora, Don Recareda:

Mojej pięknej kumie, Pepicie Ordonez.

Czy widzisz, jak ten myśliwy,
Co kona teraz na skale,
Zmęczony i ledwo żywy
Zdobycz swą goni wytrwale?
W uroczej kniei miłości
Ja takim myśliwcem byłem,
Lecz gdzież jest, gdzież, o załościl
Zdobycz, do której strzeliłem? —
Oglądam się na wsze strony...
Ach! tom ja tylko zraniony!

Całe to arcydzieło cukierniczej sztuki było podarunkiem kuma, jaki Don Recaredo przynosił Pepicie; los zawyrokował, aby jej ofiarował gołąbka, i marcowy ten, ale pełen animuszu kawaler, w ten

sposób wywiązał się ze swego zadania, pragnąc uczynić swój dar, a jednocześnie swe uczucie słodkiem jeżeli nie sercu, to przynajmniej podniebieniu Pepity.

Mercedes i jej brat zaśmiewali się do łez i zbliżyli się do Rotenianki, aby przyjrzeć się dokładnie temu dziełu, jakim miłość natchnęła cukier. Pepita, czując się ośmieszoną w oczach hrabiego, miała wielką ochotę cisnąć całą piramidę na tyśną głowę swego wielbiciela. Donna Augustia w przystępie chronicznego osłupienia spoglądała to na jednych, to na drugich, nie wiedząc sama, czy śmiać się z wesołym roźnięstwem, czy oburzać się ze swoją córką.

Don Recaredo tymczasem podbiegł do „legalnej służebnej” i dopomógł jej do ustawienia swego podarunku na małym stoliku. Na gniewny znak Pepity Rotenianka wyszła, oblizując palce powalane kremem z małych ciasteczek, które wieńcem otaczały brzeg tacy.

— Wspaniałe! Prześliczne! To się nazywa być eleganckim kumem, Don Recaredo — wołała Mercedes, śmiejąc się jak waryatka. Patrz-no, moja droga.

Ale Pepita odwróciła się plecami z taką pogardą, że wrażliwy Don Recaredo o mało nie zemdlał, a hrabia, chcąc zażegnać burzę, zbliżył się do przygnębionego wielbiciela.

— Jednobym tylko miał do zarzucenia—rzekł— że artysta, który to stworzył, nie brał w rachubę rozmiarów... Ta gołąbka jest strusiem przy tym myśliwcu i gdyby mu przyszła ochota, mógłby wsiąść na nią i używać jej za wierzchowca, jak murzyni w Somalu. Właśnie przejeżdżając przez Dreżno, widziałem taką jazdę na strusiu w ogrodzie zoologicznym... To bardzo ciekawe.

— Ale co się tyczy sportretowania, to ten cukiernik był wspaniałomyślnym—dodała Mercedes z tą samą pocziwą chęcią rozerwania trochę biednego

Don Recaredo, wskazując na konającego u stóp skały myśliwca. — Widzisz pan, dał mu taką złocistą czuprynę, jakiejby mu sam król Absalon pozazdrościł.

— Cóż chcesz, piękna Mercedes — odparł Don Recaredo żałośnie. — Nie jestem żadnym Aleksandrem Wielkim, ażebym mógł zabronić Apellesowi, żeby mnie nie portretował na drzewie, ani Lisipowi, żeby mnie portretował w bronzie, jak o tem wspomina Pliniusz. Jeśli cukiernik sportretował mnie w cukrze, dając mi bujne włosy, których nie posiadam, niech mu Bóg ten dobry uczynek wynagrodzi. Ach! widzę dobrze, że to nie miłość, lecz sposobność malują zwykle łysą.

I opierając się na ramieniu hrabiego, z miną zropaczonego Abelarda, zawrócił smętnymi oczyma w stronę Pepity, która wciąż plecami się do niego obracała.

VIII.

Ale inny, okrutniejszy jeszcze cios oczekiwał Pepitę w tym dniu tak, pełnym dla niej rozczarowań i fatalnych przygód.

Po chwilowem zamieszaniu, wywołanem poetyczno-cukrowym darem Don Recareda, nastąpiło to kłopotliwe i zabawne milczenie, jakie bywa nader niebezpiecznem dla osób pochopnych do śmiechu. Mercedes i jej brat należeli do ich rzędu i kręcili się na swoich miejscach, z trudem utrzymując powagę.

Upokorzony Don Recaredo usiadł na kraiku krzesła i przecierając binokle chustką wyperfumowaną wodą kolońską, przebiegał w pamięci, aby się pocieszyć rozprawą, jaką przygotował na temat ciągnienia losów i etymologii wyrazu „kumostwo.”

Pepita, nie zwracając na niego żadnej uwagi, starała się zainteresować hrabiego kaszelkiem podobnym do tego, jaki słyszała u pewnej znakomitej primadonny, odtwarzającej w teatrze Z* rolę Violetty. Co się tyczy Donny Augustii, ta, litując się nad przykrem położeniem Don Recareda, przerwała wreszcie milczenie, zapytując go ze zwykłym sobie taktem, czy w biurze, gdzie pracował, zdjęto już maty zimowe.

— Nie potrzebowali ich zdejmować, łaskawa pani—odpowiedział niefortunny wielbiciel—bo ich nigdy nie kładą.

— Nie może być! — wykrzyknęła Donna Augusta w osłupieniu.

Don Recaredo skorzystał z tego, aby jej wyłóżyc wszystko, co wiedział o pochodzeniu i zastosowaniu *mat* od czasów Noego aż do bieżącego roku ery chrześcijańskiej, o czem właśnie dziś rano w Encyklopedyi wyczytał.

Tymczasem Pepito zwrócił się do *śłodkiej ty-ranki* Don Recareda, jak ją ten zawsze nazywał, pytając ją o jej kuzynkę Teresę.

— Teresa? — wykrzyknęła Pepita z takim zdumieniem, jakby ją pytano o pomywaczkę. — Czyżbyś ją pan znał przypadkiem?

— Nie znam jej — odparł Pepito. — Ale wczoraj właśnie przypadłem jej losem za kuma.

Cios był okrutny, Pepita ukryć tego nie mogła. Dostyc już los ją upokorzył, naznaczając jej kumostwo Don Recareda, żeby przecież Teresa miała zostać kumą hrabiego, tego, doprawdy, było za wiele! Bujna wyobraźnia na skrzydłach zazdrości uniosła ją w przyszłość i ukazała jej Teresę, przedzierzgniętą z „kumy” Pepita w hrabinę de Pineda, następnie w ambasadorową w Berlinie, Wiedniu, Londynie, obnoszącą po europejskich dworach tę koronę o dziewięciu palkach, która się jej, Pepicie Ordenez należała, podczas gdy ona, królowa salonów, piękna, ele-

gancka Pepita, pozostawała w Z* jako żona mizernego urzędnika banku z pensją 6-ciu tysięcy reali, wreszcie jako Laura tego łysego Petrarki, jednym słowem, jako pani *Conejo!* Sam szatan nie mógłby wymyślić piekielniejszego figla! A biedaczka nie wiedziała, że sprawcami tego figla byli sam młody hrabia, przedmiot jej pożądań, i Mercedes, jej najserdeczniejsza przyjaciółka.

I polegaj tu na rzeczach tego świata.

Pepita uczuła, że napada ją znów atak nerwowy, rodzeniutki brat tego, jaki miał miejsce wczoraj po utracie spalonego loka. Zbladła naprzód z gniewu, potem poczerwieniała z zazdrości i zapominając o wszelkich względach przyzwoitości, jakie na nią obecność biednego Don Recareda nakładała, wykrzyknęła:

— Pan kumem Teresy! To mnie przynajmniej pociesza! Bogu dzięki, nie ja jedna zostałam ośmieszona.

I zaczęła się śmiać tak gwałtownie, że aż poszarpane bambosze ukazały się z pod szlafroczka.

— A to zbieg okoliczności! — wołała. — Pan kumem Teresy! Musisz pan przedstawić się jej w komiży ze stulą i kropidlą.

— Ależ Pepito! — wykrzyknęła Mercedes zdumiona. — Cóż ty masz do Teresy? To bardzo ładna panienska i taka miła!

— Miła? Teresa? — wrzasnęła Pepita, rzucając pioruny ze zdrowego oka, a błyskawice z chorego. — Szkoda, żeś jej nie słyszała mówiącej wczoraj rano... I tobie się dobrze dostało...

— Mnie?

— Tak, tobie — odparła Pepita, wiedząc dobrze, jak ugodzić. — Mówiła, że to poprostu skandal, ażebyśmy *Córki Maryi* poszły na wieczór tańczący do ciebie, mając nazajutrz komunikować, że to jest grzech śmiertelny...

— No, proszę — przerwała mocno dotknięta Mercedes — a tymczasem żadnej z *Córek Maryi*, jakie zaprosiłam, nie brakło u nas wczoraj...

— To oznacza, według Teresy, że żadna niema zdrowego sensu w głowie, że wszystkie są wykłete...

— Ależ, córeczko! — przerwała Donna Augustia wystraszona. — Teresa nic z tego wszystkiego nie mówiła.

— Moja mamó, niech się mama nie wtrąca...

— Jakże się nie mam wtrącać, kiedy nie wiesz sama, co mówisz. Teresa powiedziała tylko, że nie wydaje się jej rzeczą stosowną tańczyć na balu do świtu, a potem zaraz przystępować do Stołu Pańskiego, że trzeba wybrać jedno lub drugie i że ostatecznie *Córki Maryi* bardziej są obowiązane dopełnić przepisu swego stowarzyszenia, niż ciągnąć losy...

— Niby to nie na jedno wychodzi?

— Wcale nie — odparła Donna Augustia. — Nieprawdaż, Don Recaredo?

Biedny wielbiciel znalazł się w nielada kłopotcie, a nie chcąc narazić się ani matce, ani córce, wybrał pośrednią drogę erudycy, mówiąc:

— Zawsze tak było, szanowna pani, iż rzeczy świeckie sprzeciwiały się duchownym. Już w wiekach średnich..

— Jest mowa o terażniejszości, Don Recaredo.

— Właśnie; i dlatego też powiem pani to, co pewien biskup powiedział królowej Annie Austriaczce, matce Ludwika XIV — odparł zacierzwinny erudyta, znalazłszy wreszcie odpowiedź dowcipniejszą, niż sam sądził. — Pytała go się królowa, czy przyzwoitem było uczęszczać na pewne widowiska, których sama była zawsze gorliwą uczestniczką, a biskup odpowiedział jej na to: „Miłościwa pani, są ważne powody przeciw nim, a wysoki przykład za nimi“.

— Co do mnie — wtrącił młody hrabia, który z uwagą przysłuchiwał się tej rozmowie — sądę, że kuzynka pani mówiła bardzo rozumnie i jestem pewny, iż gdyby matka moja wiedziała, w jakim trudnym położeniu postawiła wszystkie te panie, byłaby odłożyła zebranie na inny dzień.

— O! co to; to pewno! — zawołała Mercedes. — Ale tak się złożyło, iż zawiadomienie o Komunii nadeszło późno i mama nie widziała go wcale, bo inaczej byłybyśmy pozostały bez kumów...

— Ale dlaczego? dlaczego? — wykrzyknęła Pepita, tembardziej rozdrażniona, im się jej więcej sprzeciwiano.

— Dla tej samej przyczyny — odparł hrabia z wielkim spokojem — dla której byłoby ubliżeniem należnego królowi uszanowania dawać zabawę u siebie w tej samej porze, kiedy byłoby przyjęcie w pałacu, gdzie obowiązkiem naszym byłoby się znajdować.

Zdziwiła się bardzo Pepita, usłyszawszy młodzieńca z wielkiego świata mówiącego w podobny sposób i z przymuszonym uśmiechem rzekła:

— O! O! Jak to widać, żeś się pan wychowywał u Jezuitów.

— I wcale tego nie żałuję — odpowiedział Pepito z powagą. — Zresztą, zważ pani, iż mówiłem o przepisach etykiety świeckiej, a co się tycze sprawy, o którą chodzi, przynajmniej, iż mało się na jej wymaganiach rozumiem, ale myślę, że byłoby tu więcej jeszcze do nadmienienia.

— Ach, jakimże purytaninem wróciłeś pan z Brukselli... Teraz widzę, że pokumanie pana z Teresą nie będzie tak niestosownem, jak sądziłam zrazu.

— I mnie się tak wydaje, odkąd poznałem jej sposób myślenia — odrzekł Pepito — i upewniam panią, że pragnąłbym bardzo poznać ją osobiście.

— Właśnie nadchodzi — rzekła Pepita z żywością, wskazując na drzwi.

I ciskając na ostatek zdradziecką strzałą Par-tów, dodała niby żartobliwie i tak cicho, żeby jej nie dosłyszała Donna Augustia:

— Ale miej się pan na ostrożności, abyś nie wszedł w drogę pewnemu jej wielbicielowi, którego zwą Menuto, a który piastuje godność zakrystyana w parafii świętego Marka.

Pepito zaczął dorozumiewać się przyczyny złośliwych docinków panny Ordonez i popatrzawszy na nią przez chwilę z tem słusznem lekceważeniem, z jakim mężczyzna rozumny patrzy na kobietę narzucającą mu się gwałtem, zwrócił się nagle ku drzwiom.

W drzwiach tych ukazała się Teresa i przystała w nich na chwilę; wysoka jej, smukła postawa i przezroczyta *mantilla*, która, zakrywając jej część twarzy, opadała z tyłu w długich poważnych fałdach, nadawały jej niejaki podobieństwo do owej słynnej statui Wstydlivosti (*Pudicita*), podziwianej w Rzymie jako jedno z najdoskonalszych dzieł sztuki starożytnej.

Za nią kryła się drobna postać Rosity Pinna; obie zaś wracały z uroczystości *Córek Maryi*: po śniadaniu staruszek i rozdaniu im bielizny i ubrania.

— Wejź, Tereniu, wejź! — rzekła serdecznie donna Augustia. — Jest tu Mercedes i brat jej, hrabia de Pinedo, który pragnie cię poznać. Wczoraj los dał ci go za kuma...

Delikatny rumieniec powlókł twarzyczkę Teresy, a wdzięczny jej uśmiech wychylił się z tego rumieńca, jak z łona róży. Grzecznie, lecz bez zakłopotania, przywitała się z obecnymi i usiadła obok swej kuzynki, która nie raczyła zwrócić na nią uwagi, jak również na Rositę Pinna. Don Recaredo ustąpił uprzejmie miejsca tej ostatniej, a hrabia, siedząc po drugiej stronie Teresy, przypatrywał się uważnie

jej skromnemu ubiorowi, nacechowanemu tą wrodzoną elegancją, której żaden nie zastąpi zbyt.

— Czy wie pani — odezwał się głosem tak miłym, jakim nigdy do Pepity nie przemawiał — że znajduję się w wielkim kłopotcie...

— W kłopotcie? — powtórzyła Teresa.

— A przyczyną jego jesteś pani.

— Ja?

— Nie inaczej... gdyż obowiązany jestem spełnić moją kumowską powinność, ofiarując pani to, co opiewa ta kartka.

I Pepito wyjął z rękawiczki złożoną w kilkoro kartkę, podczas gdy Teresa patrzyła na niego z rodzajem zawstydzonego nieco zdziwienia.

— Tu jest wskazany podarek — ciągnął dalej hrabia — ale jest to podarek bezimienny, pani sama musi go określić... Posłuchaj pani.

I Pepito przeczytał z wolna następujący czterowiersz:

Chcesz być kumem, młody panie,
Niech więc chęć się czynem wslawi,
A ty pierwsze spełń żądanie,
Jakie kuma ci postawi.

— Widzisz pani zatem, że przedewszystkiem musisz wyświadczyć mi wielką łaskę i powiedzieć, co mam uczynić, aby się wywiązać godnie z mego zadania.

Usłyszawszy to Teresa, złożyła swe wazkie ręce, które po przez faldy mantyli ukazywały się piękne i białe, jakby pędzlem Van Dycka lub Tycyana dotknięte, i wykrzyknęła z uśmiechem uszczęśliwionego zdumienia:

— Ja mam panu wskazać, co masz uczynić? Czy słyszysz, Rosito?... Ja mam postawić żądanie! Ależ to poprostu cud... O! z pewnością, że zażądam czegoś od pana... I to nie małej rzeczy. Nieprawdaż, ciociu...?

— A! prawda — zawołała z żywością Donna Augustia, przypominając sobie polecenie, jakie dnia poprzedniego dała jej Teresa. — Właśnie wczoraj miałam prosić pana o coś w imieniu Teresy...

— To się nazywa przybyć na czas — zawołał hrabia, przyjemnie zdziwiony. — Niechże się dowiem, jakie jest to żądanie, które już naprzód z rozkoszą spełnić przyrzekam...

— O! to coś bardzo ważnego! — rzekła, śmiejąc się, Teresa.

— Tembardziej trzeba się spieszyć!

— Nie, nie, teraz nie powiem — odparła Teresa, nie chcąc opowiadać przed tem niebezpiecznym audytoryum śmiesznej przygody swej przyjaciółki. — Muszę naprzód pomówić z Rositą!

— O! O! — rzekł żartobliwie don Recaredo do tej ostatniej. — Jesteś więc pani nimfą Egeryą piękną Teresitą?

— Nie, nie, co pan mówi! Jestem vice-sekretarką *Córek Maryi!* — wykrzyknęła Rosita, oszołomiona i zgorziona, że ją nazywają nimfą.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu — odparł zawsze pełen galanterii don Recaredo. — A tak roztropna Egerya zasługuje na tak pięknego Numę Pompiljusza.

— Boże! cóż za tajemnica — wtrąciła Pepita, trwając dalej w swych chwalebnych zamiarach wystawienia Teresy na śmieszność. — Czyżby te panie chciały wymóżyć na panu zaprotegowanie u rządu ich przyjaciela Menua, zakrystyana od Świętego Marka, na godność biskupa?

— Prawda! zapomniałam o tem — zawołała, śmiejąc się, Teresa. — Może z czasem i o to poproszę. Ale teraz ograniczę się na poleceniu panu z całego serca tej oto pani i jej prośby... Zechciej ją pan łaskawie przy sposobności wysłuchać.

Pepito zwrócił się ku urzędowej nieboszczce, której wskreszenie mu zlecano, i skłaniając się przed

nią, jak przed najdystyngowanąszą damą dworu, rzekł:
— Jestem cały na usługi pani.

I aby zmienić przedmiot rozmowy, zwrócił się do Teresy, pytając o uroczystość *Córek Maryi*.

O! wszystko się odbyło doskonale! Jakaż to piękna uroczystość! Plakać się niemal chciało na widok tych biednych staruszek, zbliżających się do Stołu Pańskiego, przed ołtarz, od licznych świateł jarzący, przystrojony w kwiaty, spowity w pachnące obłoki kadzideł, jak gdyby Majestat Boży chciał roztoczyć cały swój przepych, aby przekonać te nędzarki, z jaką prawdą mówi, że ostatni są pierwszymi, że każdy, kto się Doń zbliża, będzie przyjętym, i że każde utrapienie znajdzie w Nim pociechę, pokój, nagrodę...

A potem śniadanie! Jakże niem była zachwycona Teresa. Bo ona bardzo lubi starców; zdaje jej się, że są to istoty już z tamtego świata, noszące na czole piętno nieśmiertelności. Nawet ich srebrne włosy robią na niej wrażenie odbłyску niebieskiego światła.

A jak te biedne staruszki były ucieszone! jak im wszystko smakowało! Jadły ryż, a potem stokfisz z białym sosem i bakalie i kawę z mlekiem. Jedna z nich uparła się koniecznie, żeby Teresa skosztowała ryżu z jej własnej łyżki... Wszyscy się tak z tego śmieli... Teresa brzydziła się trochę, co prawda, ale skosztowała, żeby nie zrobić biedaczce przykrości. Tak mało potrzeba, żeby uszczęśliwić nędzarza, a w duszy zostaje potem zadowolenie tak wielkie, tak słodkie, tak święte!... Jeden tylko przykry wypadek zamącił ogólną radość. Jakaś ośm-dziesięcioletnia staruszka, siedząca przy Teresie, zemdlała! Teresa tak się tem przestraszyła... Szczęściem, że mogła ją pochwycić, żeby nie upadła i przez całe pół godziny musiała siedzieć spokojnie, podtrzymując na swoich piersiach jej skolataną głowę, nie ruszając się, nie oddychając prawie, prosząc tylko

Boga o przedłużenie życia tej starowinki, mającej kilkoro wnucząt, takich ładnych, takich biednych i bez żadnej opieki. I co prawda, to lękała się także troszkę o siebie, aby jej tak ta babinka w objęciach nagle nie umarła, bo to zawsze rzecz bardzo przykra.

Hrabia słuchał opowiadania Teresy z rodzajem tego miłego, pobłażliwego uśmiechu, jaki wywołuje na usta niewinny szczebiot dziecka. Wtem rozległ się wrzask przenikliwy, który wszystkich z miejsc poruszył.

Don Recaredo podskoczył i chwycił za futerał od okularów, którym uzbroił swą prawicę w braku rewolweru. Pepita, przechylona w tył na krześle, z nogami podwiniętymi pod siebie, wskazywała palcem na Teresę, krzyząc:

— Pfe! Pfe! Tam... tam... na mantyli.

— Co takiego? — zawołali wszyscy.

— Baranek egipski!

Przerażenie wzrosło. Teresa, wystraszona, zaczęła strzepywać mantylę.

— Pfe! Pfe! — wrzeszczała w dalszym ciągu Pepita. — Zrzucisz go na mnie! Nie ruszaj się.

Oszołomione dziewczę powiodło dokoła błagalnym wejrzeniem, jakby wzywając pomocy; ale nikt z nią nie spieszył, a tymczasem wstrętny owad urastał w jej wyobraźni do rozmiarów krokodyla. Była to zapewne pozostałość po zemdlonej staruszce, która tak litościwie na swych piersiach cucila.

Nagle zbliżył się do Teresy hrabia i końcami urekawiczkowanych palców zdjął nieproszony nabytek z fałdów mantyli.

— Pfe! Pfe! --- wołała Pepita. — Ucieknij panu. Wyrzuć go pan przez okno, na ulicę!

— Na ulicę? — rzekł z wielkim spokojem hrabia. — Czy sądzisz pani, że ja wyrzucam perły?

I dobywszy elegancki notes, wydarł z niego

kartkę, zawiązał w nią swą szkaradną, obrzydliwą zdobycz, i z zimną krwią schował ją do kieszeni.

— Boże! co za dziwactwo! — wykrzyknęła Pepita zdumiona. — Jedno warte drugiego. Kuma zbiera te cenne relikwie na swych uwielbianych starszuchach, a kum je przechowuje! Gdy pan pojedziesz do Anglii, to może jaki ekscentryczny lord zakupi od pana tę jedyną w swoim rodzaju kolekcję.

— Nie zamieniłbym tego egzemplarza na sam pałac Windsorski — odparł Pepito.

— Jeżeli pan tam zostaniesz mianowany ambasadorem — rzekła Pepita ze zjadliwą ironią — to może zabierzesz z sobą swoją kumę jako ambasadorową. Nie zabraknie jej naszyjnika z tych drogocennych pereł.

W chwilę potem goście zaczęli się żegnać, a Don Recaredo na wychodnym rzekł nieśmiało do Pepity, wskazując jej swój słodki podarunek:

— Czy podobna, najpiękniejsza Pepito, abyś nie raczyła mnie uszczęśliwić, kosztując w mojej obecności choćby kawałek tego ananasa.

— Do ust go nie wezmę, Don Recaredo!...

— Ale dlaczego, uroczą Pepito? W piętnastym wieku Holender Bucholz wynalazł sposób solenia śledzi i cesarz Karol piąty uczcił jego pamięć zjedzeniem na jego grobie jednego takiego śledzia.

— I ja też, jak pan umrzesz, zjem na pańskim grobie tuzin ananasów — odparła Pepita.

Don Recaredo spuścił głowę i postąpił z wolna parę kroków ku drzwiom, ale zwracając się jeszcze ku swej niewdzięcznej, wykrzyknął z patosem Elvina w Lunaticzce:

Alh!... per ché non posso odiarti?...

IX.

W bardzo złym humorze wrócił tego dnia do domu wielbny ojciec Rodriguez. Nabożeństwo odbyło się wspaniale, rezultaty były budujące i praktyczne. Ale arystokratyczne kółko, śmietanka całego *gołębnika*, świeciła swoją nieobecnością. Ojciec Rodriguez nie znał przyczyny tego faktu; dziwił się tylko i ubolewał, dlaczego z dziewiętnastu *Córek Maryi* pięć zaledwie było obecnymi na komunii starszerek. Poczciwy księżyna z porządnym apetytem spożył resztę ryżu i stokfisz z białym sosem, jakie pozostały od śniadania komunikantek i aby nie tracić czasu, przerzucił w trakcie tego „Echo Z*”, miejscowy dziennik, oparłszy go o butelkę czerwonego wina, jakim zwykle popłukiwał swoje posiłki.

Zajmowała go żywo sprawa jedności katolickiej, którą podówczas roztrząsały Kortezy, ale nie znalazł o niej żadnej wzmianki.

Całą pierwszą stronicę zajmował obszerny artykuł, podpisany Fin-Flan, pod którym to pseudonimem ukrywał się kronikarz (zdaje się płci żeńskiej) życia towarzyskiego w Z*. Ojciec Rodriguez przewrócił z niezadowolaniem stronicę, mrużąc:

— Co za głupstwa! I zato trzeba płacić cztery pesety ¹⁾ rocznie!

Jednakże jakieś znajome nazwisko wpadłszy mu w oczy, zwróciło jego uwagę; mowa była o Serafinie Portargo, jednej z gołębic, które mu dziś tyle krwi napuły.

— Oho! — zawołał ojciec Rodriguez. — Tum was czekał!

¹⁾ Peseta piąta część dolara — wartości mniej więcej franka. (Przyp. tłóm.).

I położywszy łyżkę, zaczął czytać artykuł od deski do deski. Fin-Flan nie rozpoczął swojej krytyki na wzór Hieronima Paturot, od powiadomienia swych zachwycających czytelniczek, że kupił sobie kanarka; ograniczył się na wezwaniu Kaliopy, Euterpy, Terpsychory i oświadczył następnie, że noc była chłodna. Ztąd zaraz przeszedł do opisu—trzymanego w tonie epicznym—wspaniałej zabawy, jaką hrabina de Pinedo wydała na uczczenie przyjazdu z Brukselli swego pierworodnego syna, i zmieniając ostatecznie pióro swe na róg tryumfalny, wyliczył wszystkie panie i panny z drobiazgowym opisem ich strojów, jakie obecnością swoją zdobiły świetne salony hrabiny. Pomiędzy temi ostatnimi ojciec Rodriguez z wielkiem zdumieniem odnalazł swoich czternaście zbiegłych gołębic. Dla każdej z nich Fin-Flan miał jakiś pochlebny przydomek: jedne były piękne, inne śliczne, inne jeszcze urocze. Te, do których żadną miarą przymiotniki te zastosować się nie dały, nazwał sympatycznymi lub eleganckimi, lub wreszcie dowcipnymi.

— Widzicie państwo! Widzicie państwo! — zawołał Ojciec Rodriguez, miętosząc dziennik—I to są *Córki Maryi!* raczej siostrzenice dyabła!

Ale zdumienie jego zamieniło się w gniew, gdy oprócz czternastu zbiegłych, spotkał się w dalszym ciągu z nazwiskami owych pięciu gołębic z wielkiego świata, które widział dziś rano, otulone w mantyle, z oczkami skromnie spuszczone, tak pobożne, tak skupione, jak gdyby przez całe życie tylko od mawianiem różańca się zajmowały.

— To nie uchodzi! — wykrzyknął Ojciec Rodriguez. — To nie uchodzi! Mogą sobie żartować ze mnie, ale nie z Pana Boga. *Deus non irridetur!* Niech sobie idą na bal i dają spokój komunii, skoro im się podoba; ostatecznie nie mogę im zabronić, żeby nie uczęszczały do szanownych domów na zabawy same przez się przyzwoite, choć dla wielu z nich

niebezpieczne. Ale żeby tańczyły do trzeciej zrana, jak ten błazen Fin-Flan zapewnia, a potem o siódmej przystępowały do stołu Pańskiego jakby nigdy nic; żeby się wszystkie pięć, jedna za drugą, przedemną wypowiedały, i żadna z nich słówka mi nie bąknęła, jakie to było przygotowanie do tych Sakramentów, to nie uchodzi, nie uchodzi. *Deus non irridetur!*

I ojciec Rodriguez, który był człowiekiem poręczym, zerwał się od stołu nie spojrzawszy nawet na ser i bakalie, i zamknął się w swoim gabinecie. Tu napisał do przewodniczącej stowarzyszenia *Córek Maryi*, nakazując jej, żeby zgromadziła walne posiedzenie i żeby na niem wykreślono z listy uczestniczek owe pięć panien, widocznie ze stali birminghamskiej ukuty, skoro, wytańcowawszy się do trzeciej zrana, miały jeszcze siłę bić się w piersi cztery godziny później.

Zafrasowała się bardzo przewodnicząca, zaprotestowała walne zgromadzenie, ale Ojciec Rodriguez, silnie trwając przy swoim *Deus non irridetur*, dał im do wyboru: albo złożenie swego urzędu Przewodnika duchownego, albo wykreślenie owych pięciu winowajczyń. Winowajczynię, rzecz prosta, obraziły się strasznie i utworzyły zaraz nowe stowarzyszenie, mające przedewszystkiem na celu wchodzić w drogę *Córkom Maryi*, bieda była tylko, że nie mogły nigdzie znaleźć duchownego przewodnika; najodpowiedniejszym byłby Fin-Flan, ale jakoś nie pomyślano o nim.

Wśród tych wszystkich zajęć, zmian i kłopotów, tak zbliżka ją obchodzących, Rosita Pinna traciła prawie głowę i zapewne dlatego wykrzyknęła przestraszona: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” gdy nazajutrz w południe zastukano do jej pokoju.

Pomimo to poszła otworzyć, ale przestraszyła się i zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy ujrzała przed sobą hrabiego de Pinedo, który z kapeluszem

w ręce, przeproszał ją grzecznie, że może przyszedł nie w porę.

— Matko Boska! Pan hrabia u mnie... Jezus Marya... proszę! proszę! Gdzież zaś nie w porę. To ja przeproszam... Święty Józefie, gdzie krzesło? Niechże pan hrabia siada!

I szastała się biedaczka po swoim pokoiku, spędzając kota, potrącając sprzęty, aż wreszcie zrzuciła na ziemię koszyk z robotą, aby ofiarować gościowi najwygodniejsze krzesło. Usiadł wreszcie Pepito, ale w tej samej chwili zerwał się jak oparzony; na krześle leżał szkaplerz, który szyla Rosita ze sterzącą w nim igłą. Biedna Rosita omal się nie rozplakała i Pepito ledwie ją zdołał uspokoić, rozcierając sobie nieznacznie biodro, jak gdyby tam przez halucynację nerwów uczuł był uktucie igły.

Ochłonęli wreszcie oboje ze swych odmiennych wrażeń i młody hrabia z tą serdeczną prostotą człowieka, który wiele może, a przytem jest delikatnym, tak różną od suchego lekceważenia dumy, co obraża i protekcyjnalnej uprzejmości, co upokarza, zaczął prosić Rosite, aby mu powiedziała, w czym może być jej użytecznym, a zarazem wywiązać się z danego Teresie przyrzeczenia.

Odkasznąła urzędowna nieboszczka, zaczerwieniła się i zaczęła opowiadać symptomy, jakie poprzedziły jej śmierć i wymieniać lekarstwa potrzebne do jej wskrzeszenia. Przygryzał sobie usta hrabia, aby nie parsknąć śmiechem i rozumiał, jak rozsądnie postąpiła Teresa, nie chcąc poruszać tej sprawy wobec złośliwej Pepity i częstokroć niefortunnie natchnionego Don Recareda. Panna Ordonez byłaby znalazła w tej przygodzie niewyczerpane źródło ośmieszania biednej Rosity, a poeta-erudyta byłby napisał długi poemat pod tytułem: „Umaria żyjąca” i wbrew woli biedaczki byłby ją przekazał nieśmiertelności, jak Silvo Pelico przekazał swą młodą strażniczkę.

W rezultacie rzecz sama wydała się hrabiemu nader łatwą do przeprowadzenia; dość mu było napisać kilka słów do jednego ze swych przyjaciół, dołączając świadectwo właściciela domu i metrykę nieśczęśliwej ofiary urzędowej pomyłki.

Zmieszała się trochę Rosita usłyszawszy, że trzeba było doręczyć hrabiemu swą metrykę, którą tak starannie ukrywała przed oczyma profanów, co spostrzegłszy Pepito, zapytał ją, czyby miała co przeciwko temu. Zaczęła się jeszcze bardziej mieszać Rosita, bąkać coś niezrozumiale, wreszcie wykrztusiła pytanie, czy nie byłoby to samo, gdyby ona od siebie posłała owe dokumenty przyjacielowi hrabiego?

— Zupełnie to samo—odparł tenże, wzruszając lekko ramionami.—Dziś napiszę do mego przyjaciela, a jutro przysyłę pani jego adres.

I zwracając rozmowę na inny przedmiot, zaczął wypytywać pocziwą starowinę o jej przyjaciółkę Teresę. Tego jej było potrzeba! Aż się na krześle poprawiła z uciechy. O! bo to ze świecą szukać, a nigdzie się drugiej takiej, jak Teresa, nie znajdzie. Łączyła ona w sobie cnoty wszystkich świętych i męczenniczek, posiadała roztropność świętej Brygidy, słodycz świętej Agnieszki, niewinność świętej Róży, a nadewszystko energię, siłę woli i ogniste serce swej wielkiej patronki, świętej Teresy.

— Ile razy myślę o tej świętej—mówiła Rosita—wyobrażam ją sobie zawsze z twarzą Terenii. Czy wie pan hrabia; Terenia ma nawet taki mały znaczek koło ust, jak właśnie święta Teresa miała. A co to za dusza! co za przytomność umysłu, co za odwaga! Niech sobie pan hrabia wyobrazi: będzie temu ze dwa lata, wszyscy już spać poszli, a ona siedziała jeszcze w swoim pokoju, sama, samiuteńka. Spojrzy ku oknu, a tam z pod firanki wyglądają nogi jakiegoś ukrytego draba... Jezus Marya! jabym była na miejscu ze strachu skonała—a ona—nie! Po-

deszła do komody i niby ją chce otworzyć i powiada głośno: „Masz tobie! Zostawiłam klucze w jałdym pokoju!” I dalej do drzwi, powoli, spokojniutko; wyszła, zamknęła je na klucz za sobą i wtedy dopiero narobiła alarmu, pobudziła cały dom—no, i złodzieja złapali.

— A przytem wszystkim — ciągnęła dalej Rosita, która raz zacząwszy o Teresie, nie wiedziała kiedy skończyć — co za słodycz, co za pokora i co za cierpliwość! Niech sam pan hrabia osądzi... Mielśmy tu wśród naszych biednych jedną starą babę, istną piekielnicę! Pochodziła z Madrytu i powiadano, że w trzydziestym czwartym roku, kiedy to były rozruchy, zabiła jakiegoś braciszka... Ano dobrze. Staruszka ta rozchorowała się, więc chodziłam do niej pielęgnować ją. Raz wzięłam z sobą Terenię. To trzeba było widzieć. Moja Terenia zaraz zaczęła uczyć ją katechizmu, a że to nosiłyśmy jej rosoły i lekarstwa, więc chytra baba siedziała cicho i jadła. Ale pewnego dnia zły duch napowrót ją opętał i zaczęła się hardo stawiać i ubliżać Tereni. Ona nic. Przychodzi na drugi dzień; stara jeszcze gorsza, każe jej się wynosić. Trzeciego dnia Terenia znów u niej. Wtedy ta jęcza jak nie porwie drąga: zrobiła jej ot taką dziurę na głowie. Ja sama Terenię doglądałam i schowałam jej chusteczkę zakrwawioną, jakby relikwię jakiej męczenniczki. Tymczasem, co pan hrabia powie? Baba się widocznie z tej złości napowrót rozchorowała, a Terenia znów u niej! Jak ją ta zobaczyła, tak osłupiała, jak święty Paweł z konia spadłszy.

— Jakto, panienko—powiada do niej—po tem, com ja panience zrobiła, panienska jeszcze do mnie przychodzi?

A ten anioł z nieba odpowiada jej na to, z tą swoją twarzą królowej, rozdającej jałmużnę:

— Czemużby nie? Uczylam was religii słowem, muszę was jej nauczyć czynem.

— O! święty Boże! Powiadam panu hrabiemu, jak ja zacznę płakać, usłyszawszy to, tom trzy dni z rzędu płakała i ta baba tak samo; a potem się wypowiadała i w tydzień potem Pan Bóg przyjął jej duszę do swojej chwały, dzięki Tereni... To też mówię panu hrabiemu, że to trzeba całować tę ziemię, po której ona stapa, i nie dziwiłabym się wcale, gdyby tak, ni ztąd ni zowąd, zaczęła robić cuda...

Hrabia słuchał nie przerywając i gładząc swój delikatny zarost, a gdy Rosita umilkła wreszcie dla nabrania tchu, rzekł właściwym sobie, powolnym głosem:

— Wszystko to jest godne uwielbienia, prawdziwie godne uwielbienia... Nie pojmuje tylko, jak przy tyłu cnotach nie wstąpiła jeszcze do klasztoru...

— Prawda! ja to sama zawsze powtarzam! — wykrzyknęła Rosita, zachwycona, że hrabia tak w jej myśl wchodzi. — Ta dziewczeczka Bogu jest przeznaczona, bo niema mężczyzny, któryby był jej godnym. Ale gdzie tam, zjawi się jaki wartogłów, co to, Boże odpuść, ni z pierza, ni z mięsa i zabierze ją jak swoją. To już taki los! I jeszcze ją unieszczęśliwi w dodatku!

— A ona?—ciągnął dalej hrabia—czy nie objawiała nigdy chęci zostania zakonnica?

— Hm! widzi pan hrabia — odrzekła Rosita w swoim żywiole, przysuwając się do niego coraz bliżej, tak, że w końcu na samym brzeżku krzesła siedziała. — Hm! tego napewno niewiem, bo Terenia jest bardzo skryta. Ale, zdaje mi się, że kiedyś... kiedyś... było coś... coś... Ale cóż, Terenia jest biedna, niema posagu... Rozumie mnie pan hrabia. Donna Augustia pewnie go jej nie da, więc może, może dlatego ojciec Rodriguez wybił jej klasztor z głowy.

— O! jeżeli o to tylko chodzi — rzekł hrabia z wyraźną obojętnością — to taka przeszkoda dałaby się łatwo usunąć. Ja sam, z zachowaniem wszelkich względów delikatności, na jakie taka, jak ona, osoba zasługuje, podjąłbym się ją wyposażyć.

— Dałżeby Bóg! Dałżeby Bóg! — wykrzyknęła Rosita, pełna świętego zapału. — Spełniłoby się marzenie mego życia — mój złoty sen... Ujrzeć ją Salezyanką!

Hrabia zrobił jakąś nieodgadnioną minę i pożegnał Rositę, ponawiając jej z tą samą, co poprzednio serdecznością zapewnienie całej swej gotowości na jej usługi. Rosita zachwycona, wyprowadziła go na schody i tegoż jeszcze wieczoru opowiadała Teresie ze wszystkimi szczegółami wizytę jej kuma, dodając z uniesieniem:

— A jaki to piękny młodzieniec! Podobny do świętego Jana Ewangelisty! A jaki przytem katolik...

I mało brakowało, ażeby na potwierdzenie katolickiej żarliwości hrabiego nie wypaplała przed Teresą jego zamiaru wyposażenia jej, z jakim się zdradził; wstrzymała się jednak w porę, dodając tylko:

— Kichnął dwa razy i za każdym razem rzekł: „Jezus!”

Następnego dnia otrzymała Rosita od hrabiego list, w którym jej donosił, że napisał już do swego przyjaciela, Don Alfonsa de Guevara, polecając mu jej sprawę, teraz więc stosownie do wyrażonego przez nią życzenia, może posłać oba dokumenty wprost na ręce tego pana, adresując *stosownie do szematu*. Odnosiło się to do papieru, na jakim pisany był list; papier ten bowiem opatrzony był stemplem biura państwowego ministerjum.

— Bardzo dobrze! — rzekła do siebie Rosita zadowolona i pełna otuchy.

I nie zwlekając, włożyła oba dokumenty w kopertę, zakleiła ją ogromną szkarłatną pieczętką, jaką jej dał przyjaciel jej, kapelan, i zaadresowała jak następuje:

Sr. D. Alfonso de Guevara

w Szemacie.

Własnoręcznie wrzuciła list do skrzynki, a nie wiedząc, który święty właściwie był patronem pocztowej instytucji, odmówiła modlitewkę do Archaniola Rafaela, opiekuna podróżnych, za szczęśliwe dojście swej wysyłki.

X.

Po parotygodniowym pobycie w Z* wrócił młody hrabia de Pinedo do Madrytu, i przez cały ten czas trzy razy tylko widział się z Teresą, w domu jej ciotki, a raz na rozdawaniu nagród w bezpłatnej szkółce, dokąd towarzyszył siostrze.

Pepita, która śledziła za każdym niemal poruszeniem hrabiego, dowiedziała się, że ten miał jakąś bardzo długą rozmowę z ojcem Rodriguezem, i domyśliła się, że poszedł przeproszać go w imieniu swej matki za wszystkie nieporozumienia i przewroty, jakich hr. stała się mimowolną sprawczynią w *Golebniku Najświętszej Panny*.

Minał tydzień, nie przyniosłszy żadnych wieści ani o młodym dyplomacie, ani o urzędowym wskrzeszeniu Rosity Pinna w emerytalnej kasie.

Jednego dnia zrana Donna Augustia siedziała w gabinecie na dole, zajęta robotą, a przy niej Te-

resa, szyjąca na maszynie Singera wiekuiste szlafmyce, kaftany i koszule dla biednych.

Wtem weszła Pepita, cała wzburzona, z listem w ręce, mającym na kopercie pieczęć państwowego ministerium, a po drugiej stronie monogram J. P. z hrabiowską koroną.

— Mamo, mamó!—wołała, nie wątpiąc ani na chwilę, że list ten jest tkliwą prośbą o jej białą rękę.—Pepito, pisze do ciebie! Patrz, to jego list! Pieczęć ministerium, a po drugiej stronie ten monogram. Jaki piękny... a ta korona... prześliczna!

Zdziwiła się Donna Augustia, nałożyła okulary i przez chwilę obracała kopertę w rękę, z tą dziwną niepewnością, właściwą każdemu, komu jakiś niespodziewany list doręcza. Rozpieczętowała go wreszcie i jeszcze się bardziej zdziwiła: wewnątrz znajdowała się druga koperta otwarta i zaadresowana do Teresy.

— Nie może być!—wykrzyknęła!—Ależ to do ciebie, Tereniu.

— Do niej?—zawołała Pepita i nagle poruszeniem chciała wyrwać list matce.

Ale Teresa trzymała go już w swoich rękach i odczytywała w milczeniu. Czytając, bladła najprzód coraz bardziej, aż zrobiła się bladą, jak opłatek, a potem znów zapłonęła, jak róża i mimowoli poniosła rękę do serca. Przez chwilę zdawało się, że cała jej dusza zawisła i drży, na jej wprost otwartych ustach, jak kropla rosy w kielichu kwiatu.

— Cóż on pisze? Co pisze? — wołała Pepita, która z gorączkową ciekawością śledziła każde poruszenie kuzynki.

Teresa, odzyskawszy panowanie nad sobą, podała jej list, mówiąc:

— Nic szczególnego. Przeczytaj, jeżeli chcesz. Pisze o sprawie Rosity Pinna.

Pepita rzuciła się na papier, niby jastrząb na zdobyc i nie spostrzegła, że Tetesa w tej samej chwili schowała drugą ćwiartkę, która przyszła w tej samej kopercie, i którą właśnie była czytała.

Pepita jednym rzutem oka pochłonęła cały list krótki i ceremonialny. Hrabia pisał, że dokumenty Rosity Pinna nie nadeszły i tylko ta właśnie okoliczność wstrzymuje zakończenie całej sprawy w sposób bardzo pomyślny dla sieroty. Teresa nie wiedziała, że Rosita posłała je do Szematu, i zabierając się znów do szycia, rzekła:

— Widocznie papiery zginęły w drodze. Muszę więc dać znać dziś jeszcze Rosicie, żeby posłała inne.

Pepita pokiwała głową niedowierzająco: zauważyła ona wielkie wzruszenie swej kuzynki, a ten list, chłodny i obojętny, zgoliła go nie usprawiedliwiając. Zaczęła więc łamać sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki, i wydało jej się w końcu, że jest na tropie: niezawodnie Teresa tak się rozkochała w hrabi de Pinedo, że sam widok jego listu dostatecznym był, aby ją wytrącić z jej zwykłego spokoju.

— To to tak, moja świętoszko? — pomyślała w duchu.—To ty sobie wyobrażasz, że on ci słubną obrączkę na palec włoży, dlatego, iż ci przypadł za kuma i powiedział ci parę komplementów! Nie do uwierzenia, doprawdy, co to w niektórych głowach świta! No, poczekaj, będę ja cię miała na oku, a jak cię na czym złapię, z pewnością tego pod korcem nie schowam. Cały świat się dowie, jaki z ciebie ptaszek, i wyśmieje cię, jak na to zasługujesz.

Pomimo to, wiele rzeczy uszło śledczemu oku Pepity: nie wyspiegowała najprzód, że następnego dnia rana odbyła Teresa długą rozmowę z ojcem Rodriguezem przy konfesjonale; że tego samego wieczora napisała list, który, chociaż nie był długi, musiał być trudny, bo podarła ze trzy bruliony, zanim go skoń-

czyła; nie wyszpiegowała wreszcie tego, że list ten otwarty wręczony został hrabinie dla przesłania go jej synowi.

Dzień Matki Boskiej Łaskawej rozbudził nano wo, z większą jeszcze siłą, podejrzania i obawy Pepity. W dzień ten Mercedes obchodziła swoje imieniny i w wigilię przysłała razem z matką prosić Donnę Augustię, aby pozwoliła obiadować u nich dnia następnego Pepicie, a także i Teresie.

Zaperzyła się Pepita, usłyszawszy drugą część tych zaprosin i z największą niedelikatnością pośpieszyła odpowiedzieć, że co do siebie, z rozkoszą stawia się na wezwanie, wątpi przecież bardzo, aby jej kuzynka przyjąć je mogła.

To też oburzenie jej i zdumienie nie miały granic, gdy Teresa, nie tracąc ani odrobiny zwykłego spokoju, przyjęła zaproszenie, jak rzecz najnaturalniejszą w świecie.

— Ale w cóż się ubierzesz, idyotko jakaś? — zawołała Pepita rozzłoszczona. — Czy nie wiesz, że tam będzie cały nasz świat elegancki; jakże ty się tam pokażesz?

Teresa zaczęła się śmiać i z właściwą jej figlarnie buńczuczną minką odparła, wzruszając ramionami:

— E! Nie zabraknie mi czterech nitki do włożenia na krzyż.

I z tak dobrym smakiem umiała skrzyżować te cztery nitki, że Pepita, zobaczywszy ją ubraną, musiała przyznać, iż Teresa nie potrzebuje atlasów i koronek, aby urodą swą, świeżością i wdziękiem zaćmić niejedną pretensjonalną modniśnię.

Hrabina, osoba bardzo taktowna, uprzejma, była dla Teresy wyróżniająco grzeczną; rozmawiała z nią długo sam na sam; przy stole posadziła ją obok siebie, a na odjeźdźnym ujęła ją za obie ręce i serdecznie, po macierzyńsku pocałowała w czoło.

Pepita nie umarła na miejscu, bo zazdrość truje tylko, a nie zabija, lecz uczuła kilkakrotnie, że grozi jej atak nerwowy. Instynkt tej niskiej namiętności ostrzegał ją, że w tem kryje się coś, coś waznego, coś, co napełniało jej duszę tym bezsilnym, nurtującym smutkiem, który jest zarazem winą i karą zazdrości.

Kareta hrabiny odwiozła obie kuzynki do domu i przez całą drogę nie zamieniły one z sobą ani słowa.

Wkrótce potem miały się odbyć wyścigi konne w hippodromie i Pepita spodziewała się, że Mercedes zaprosi ją na tę zabawę, w tym celu przygotowała sobie bardzo szykowny kostyum i sprowadziła z Madrytu stosowny do okoliczności kapelusik w kształcie dzokiejki. Zaproszenie nadeszło istotnie, ale w jakiej formie!... Mercedes napisała do Teresy, ofiarując jej w imieniu matki miejsce w powozie i prosząc, ażeby taką samą propozycję zrobiła od nich Pepicie.

Tego już było za wiele! Zapraszać ją, Pepite, za pośrednictwem Teresy? Spychać ją na podrzędne stanowisko wobec tej świętoszki? I to zrobiła Mercedes, jej najlepsza przyjaciółka!

Pepita byłaby się rzuciła przez okno na bruk, gdyby ją nie wstrzymywała nadzieja, że i tak zabłyśnie na wyścigach swą dzokiejką czapczką. Była pewną, iż Teresa, jak zwykle, nie pojedzie, zostawiając jej wolne pole, lecz ta, niewzruszona zawsze i nie tłómacząc się bynajmniej ze swego postępowania, przyjęła zaproszenie.

Gniew Pepity wybuchł nareszcie: zwymyślała kuzynkę, ubliżyła matce i oświadczywszy, że za nic na świecie nie pokazałaby się publicznie w towarzystwie żyjącej na cudzym chlebie żebraczki, zamknęła się w swoim pokoju, trzasnąwszy drzwiami aż szuby zajęczały. Tu zaczęła sobie rwać włosy i dra-

pać się po twarzy; najdziksze pomysły chodziły jej po głowie: miała ochotę podrzeć Teresie jej jedyną odświętną sukienkę, obciąć jej włosy, oblać witryolem, rzucić na nią najczarniejszą potwarz.

Przez okno swego pokoju, ukryta za firanka, ujrzała Pepita zajeżdżający wspaniały powóz hrabiny, zaprzęzony w cztery konie, à la Daumont, ujrzała potem swoją kuzynkę, wychodzącą i zajmującą miejsce obok hrabiny, która ją serdecznie uściśliła.

Pepita ledwo własnym oczom uwierzyć mogła. Jakim u licha sposobem ta przeklęta dziewczyna potrafiła tak odświeżyć swoją znoszoną, białą, alpagową sukienkę, że wyglądała jakby wyszła z rąk Lafermiera'a lub Wortha? Zkąd nabrała ta złodziejka.. tak, złodziejka, która jej ukradła przyjaciół, jej tryumfy, jej miejsce w powozie?... zkąd ona nabrała tej pewności siebie, tego słodkiego majestatu „królowej, rozdającej jałmużnę,” według trafnego wyrażenia Rosiny, malującego żywo ten podwójny wyraz szlachetności i dobroci, jaki stanowił charakterystyczną cechę Teresy! Wszystko to wyglądało jak bajka z tyśiąca i jednej nocy, i Pepita myślała chwilami, że to sen przykry i męczący, z którego lada chwila zbudzić się musi.

Pocztylioni w czarnych aksamitnych zakietach, w białych trykotach i błyszczących botfortach, ściągnęli lejce; wszystkie cztery konie ruszyły naraz z miejsca i wspaniały ekwipaż oddalił się z wolna i zniknął na zakręcie ulicy. Wówczas wezbrane serce Pepity rozplynęło się we łzach i zaczęła płakać gorzko, tak gorzko, jak umie płakać zwyciężona zazdrość i upokorzona próżność... Wieczorem nowy cios: lokaj od hrabiny przyszedł oznajmić, że panna Teresa wróci dopiero o jedenastej, gdyż została na obiedzie.

Wśród tego wszystkiego Teresa nie zapomniała o swojej starej przyjaciółce. Zaraz po otrzymaniu

listu hrabiego uwiadomiła ją o zaginięciu dokumentów i wówczas to dowiedziała się, pod jakim adresem zostały wysłane.

— Ależ, Rosito, na Boga! — wołała Teresa, śmiejąc się do rozpuku z naiwości poczciwej kobieciny. — Gdzież jest to miasto? Chyba w szóstej części świata. Nie dziwię się, że Archanioł święty Rafael tak źle się ze swego posłannictwa wywiązał. W żadnej geografii nie znalazłby miasta Szemat.

Musiała więc Rosita wyjąć nową kopię swej metryki i nowe świadectwo właściciela domu i posłała je tym razem wprost na ręce hrabiego! Zwłoka ta wydała jej się słuszną karą Opatrzności za niewczesną kokieterię ukrywania lat swoich i z tem świętem poczuciem zadoścuczynienia, właściwem duszom silnym a pokornym, nałożyła sobie pokutę obwieszczenia wszędzie daty swych urodzin. Dowiedziano się zatem, z ogólnem zdumieniem, że ubiegłego marca skończyła siedemdziesiąt cztery lata.

W parę dni po wysłaniu dokumentów Rosity Teresa otrzymała drugi list, tym razem adresowany do niej, z pieczęcią państwowego ministerium i arystokratyczną koroną nad monogramem. Przeczytała go bez okazania najłżejszego wzruszenia wobec Pepity, która znajdowała się właśnie w pokoju, gdy list ten przyniesiono.

— I cóż pisze? — zawołała Pepita, niezdolna pohamować swej ciekawości, pożerając list oczyma.

— Donosi mi bardzo dobrą nowinę — odrzekła Teresa spokojnie. — Rosita Pinna ma sobie przyznaną napowrót pensję, a nawet podwyższono ją na piętnaście dolarów miesięcznie! Biećaczka! jakże się ucieszy!

Wkrótce potem Teresa wyszła z pokoju, zostawiając czy to przez roztargnienie, czy z umysłu list na stoliku. Tego tylko było potrzeba Popicie; jeszcze się drzwi za Teresą nie zamknęły, gdy już

była przy stoliku i bez żadnego skrupułu przeczytała list od początku do końca. Był chłodny i etykietalny, jak poprzedni; jedno przecież wyrażenie uderzyło Pepitę. Hrabia, pisząc o Rosicie, nazywał ją „nasza pocziwa starowinka.”

Ta „nasza,” ten zaimek dzierżawczy w liczbie mnogiej wyglądał podejrzanie, stanowił rodzaj łącznika pomiędzy piszącym a adresatką... Przyglądając się uważnie kopercie, Pepita odkryła jeszcze jedną zadziwiającą poszlakę: koperta była stanowczo za duża, jak na jeden arkusik. Niewątpliwie przyszło w niej coś więcej. Pepita wkładała kilkakrotnie trzymaną w rękę ćwiartkę do koperty i wyjmowała ją, i ostatecznie utwierdziła się w swych podejrzeniach.

— A ty hypokrytko przebrzydła!—wykrzyknęła z pasją.—Romansujesz z nim pokątnie, a to stare straszdyłło Rosita służy wam za parawan. Poczekajcie, zdemaskuję was!

I skradając się na palcach, pobiegła do pokoju Teresy. Drzwi były na klucz zamknięte z wewnątrz. Pepita przyłożyła oko do dziurki od klucza i dostrzegła swą kuzynkę, opartą o framugę okna i czytającą z uwagą długi, dwuarkuszowy list.

— To ten, co przyszedł w kopercie!—pomyślała Pepita i wyteżywszy wzrok, jak mogła najbardziej, rozróżniła w nagłówku jednego arkusika ów błękitny monogram z hrabiowską koroną.

Nie! Od tego można było zwaryować! Co znaczyły te tajemnice, te konszachty, wszystkie te nadzwyczajności?

W tym samym jeszcze tygodniu najświeższy numer pisma *La Moda Elegante* zadał nowy cios jej niepogrzebanym jeszcze, bądź co bądź, nadziejom, a jednocześnie zrzucił jej kamień z piersi. Dowiedziała się, że hrabia wymyka jej się stanowczo, ale jednocześnie wymyka się też Teresie; tego było dosyć, aby napęlić jej serce tą mściwą radością, jaką nie-

powodzenie drugich budzi w naturach niskich i zazdrosnych. W kronice salonowego życia wspomniał madrycki Fin-Flan o kilku świeżo zawartych małżeństwach, i kilku mających się dopiero skojarzyć, a wśród tych ostatnich znajdowała się wzmianka o bliskim związku młodego, zaszczytnie już znanego dyplomaty, hrabiego de Pineda, z piękną andaluzyjską markizą.

Pepita nie straciła ani chwili czasu, lecz pobiegła podzielić się tą wiadomością z Teresą, sądząc, że jej tem zada cios straszliwy. Zastała ją w gabinecie na dole, szyjącą na maszynie Singera jakąś ohydną szlafmycę.

— Wiesz, że Pepito się żeni! —zawołała panna Ordenez bez tchu prawie.

Teresa wstrzymała na chwilę maszynę i odparła ze swym pogodnym spokojem:

— To dopiero nowina! Wczoraj już to słyszała Rosita Pina w Portargoro.

Pepita otworzyła szeroko oczy i usta; zdumienie odebrało jej na chwilę mowę; ciekawość jednak przemogła; zapytała więc po jakimś czasie, uznając się za zwyciężoną:

— Ależ, z kimże się żeni?

— Z markizą de la Rambla — odparła chłodno Teresa.

I wprawila znów w ruch maszynę, której monotonny turkot zdawał się być śmiechem przeznaczania, natrząsającego się z Pepity.

Ta przejrzała natychmiast od początku do końca „Przewodnik urzędowy” z bieżącego roku, ale nie znalazła w nim żadnej markizy de la Rambla. Dopiero *Gazeta* z 29 listopada 1875 r. wyprowadziła ją w trzy dni potem z wątpliwości. Ogłoszony był dekret królewski, uznający Donnę Teresę Ordenez

y Santistéban za uprawomocnioną do pobierania pensyi rządowej, jako córkę zmarłego generała Armady, Don José Marya Ordoneza, przysadzający jej od skarbcza wypłatę tejże pensyi za zaległe lata, oraz mianujący ją posiadaczką—bez kosztów—tytułu Markizy de la Rambla.

Dekret ten ogłoszony został 29 listopada, dowiedziano się o nim w Z* 30-go i tegoż samego dnia Teresa otrzymała z ministryum urzędowe o tem zawiadomienie. Po mieście zaczęto sobie szeptać, że we wszystkim tem była ręka młodego hrabiego de Pineda. a pogłoska ta utwierdziła się tembardziej, gdy w kilka dni potem matka jego przyjechała do donny Augustii prosić oficjalnie o rękę Teresy dla swego syna. Oslupienie znacznej niewiasty nie miało granic; ale musimy jej oddać sprawiedliwość, że było to osłupienie radosne.

Zaczęły się wizyty z powinszowaniami i życzeniami; Rotenianka, ucywilizowana trochę przez te kilka miesięcy, nie mogła nadażyć drzwi otwierając, nikt jednak z gości nie ujrzał Pepity. Była zakatarzoną, straszliwie zakatarzoną i doktor nie pozwolił jej opuszczać łóżka. W tydzień potem jednak don Recaredo spotkał ją u jednych znajomych.

— Widzisz, piękna Pepito — powiedział jej. — Widzisz, jak węzły kumostwa mogą się zacieśniać.

— I cóż ztąd?—odburknęła Pepita, pozieleniawszy ze złości.

Don Recaredo spojrział w ziemię, potem w sufit, potem na prawo, na lewo, i z wysiłkiem kogoś, co się porywa na krok mający mu grozić skręceniem karku, rzekł:

— To ztąd, najpiękniejsza z tyranek, że na podobieństwo Pepita i Teresy moglibyśmy także zacieśnić węzły, jakie nas łączą.

— Mnie żadne węzły z panem nie łączą — odparła Pepita, doprowadzona do ostatniej pasyi.— Zapamiętaj pan to sobie raz na zawsze, Don Recaredo... W ten dzień, kiedy się będę miała powiesić, użyję panu drugi koniec sznurka, abyś to samo zrobił. To będzie jedyny węzeł, jaki nas połączy.

— Cudownie! Wspaniale! Wzniośle!—wykrzyknął Recaredo z nastrojem Pindara. — Umrzemy razem, jak kochankowie z Teruel, Don Diego de Marcilla i Dona Isabela de Segura, urodzeni 1192 r. w temże mieście.

Rosita Pinna, uszczęśliwiona, nie pozostała w tyle za innemi w złożeniu życzeń Teresie. Zobaczywszy hrabiego, pogroziła mu wachlarzem, mówiąc:

— A! figlarz! A mówił do mnie, że chciałby ją wyposażyć, aby została Salezyanką!

Hrabia zaczął się śmiać, przypomniawszy sobie swoją rozmowę z vice-sekretarką *Córek Maryi*.

— Posłuchaj, Rosito — rzekł. — Gdyby się Bogu było podobało do wyłącznych swych usług powołać Teresę, z pewnością uszanowałbym Jego wolę. Ale muszę ci powtórzyć jedną legendę, którą w Tyrolu opowiadał mi pewien przewodnik alpejski, a która cię może uspokoi:

— Powiadają, że święty Piotr miał dwie siostry: jedną starszą od siebie, drugą młodszą. Ta wstąpiła do klasztoru, a święty Piotr, bardzo z tego kontent, chciał i drugą namówić, aby poszła w ślady tamtej, ale mu powiedziała:

— Nie, wolę wyjść za mąż.

Wszystkim wiadomo, że po swoim męczeństwie święty Piotr mianowany został gwardyanem niebios. Pewnego dnia powiada mu Pan Bóg:

— Piotrze! Otwórz drzwi naoścież, bo dziś ma przybyć bardzo wielka dusza.

Święty Piotr pokwapił się ze spełnieniem rozkazu, mówiąc do siebie:

— Bez wątpienia będzie to moja siostra zakonnic.

Nie była to przecież dusza jego siostry zakonnicy, lecz mężatki. Bóg jej wyznaczył miejsce bardzo wysokie, a święty Piotr, patrząc na to ze zdziwieniem, myślał:

— No, no, cóż to będzie, kiedy przyjdzie moja siostra zakonnic?

Niezadługo potem mówi do niego Pan Bóg:

— Piotrze! Otwórz drzwi. Ale nie potrzebujesz ich otwierać całkiem; uchyl tylko trochę.

— Któż to będzie taki, jakiś grzesznik zapewne?—pomyślał święty Piotr.

A to właśnie była dusza jego siostry zakonnicy, która z wielką biedą przesunęła się przez wąską szparę. Pan Bóg umieścił ją o wiele niżej, niż mężatkę, i święty Piotr zdumiał się tem wielce. Ale wówczas pojął to, co święty Franciszek Salezy powiada, że nie wszystko polega na stanie, ale na doskonałości stanu.

— Ale ztąd i ty także, droga Rosito, możesz wywnioskować—ciągnął dalej hrabia ze swym uprzejmym, lekko drwiącym uśmiechem— że Teresa nie popadła w zupełnie złe ręce, bo jej przyszły mąż, jak widzisz, czytuje autorów ascetycznych.

XI.

Odbyło się wreszcie wesele Teresy i Pepita z wielką okazałością. Wyprawa była wspaniała,

a dziwnym zbiegiem okoliczności, hrabiowska korona, jaką pan młody ofiarował oblubienicy, była kubek w kubek takuteńka, jak ją sobie wymarzyła Pepita: Nie dyadem, lecz zupełna korona, wysadzana przepyszniemi szafirami. Ale Pepicie wydała się bardzo pospolitą i pogardliwie kręciła na nią nosem, powodując się w tem odwiecznem lekceważeniem lisa dla zielonych winogron.

Wśród licznych ślubnych podarków, dwa zwracały szczególniejszą uwagę. Jednym była kropielniczka do wody święconej z cyzelowanego srebra, dar Rosity Pina, na który biedaczka wydała wszystkie swoje oszczędności, przeznaczane na pogrzeb. Z dwojga złego wolała być nie pochowaną po śmierci, niż okazać się niewdzięczną za życia.

Drugiem była banieczka nadzwyczaj kosztowna. Tworzył ją olbrzymi szmaragd, całkowicie wydrążony, zamknięty dużą perłą, a sześć podobnych pereł otaczały ją kołem. W tym drogocennym sarkofagu spoczywał trup owego... a pfe! egipskiego baranka, którego na mantylę Teresy sprowadziło jej wielkie miłosierdzie, odkryła tam złośliwość Pepity, a zdjęła i przechowała osobliwsza galanterya hrabiego.

Pepita twierdziła stale, że temu to wstrętnemu owadowi zawdzięczała Teresa swoje szczęście, gdyż on głównie zwrócił uwagę młodego dyplomaty na jej kuzynkę.

— Trzeba przyznać, iż jest to romantyzm w bardzo złym guście—zawyrokowała Pepita—a ra czej jest to, poprostu mówiąc, wielkie paskudztwo.

Na tem moglibyśmy poprzestać, gdyby nas nie wstrzymywał wzgląd bardzo ważny. Zarzucano nam niejednokrotnie, że urywamy nasze opowiadania, pozostawiając czytelnika w nieświadomości dalszych losów osób, z jakimi zapoznaliśmy go. Moznaby

na to odpowiedzieć z Szyllerem, że nikt nie pyta, co się stało ze skowronkiem, który o brzasku dnia śpiewa pod jego oknem: śpiewa, bo śpiewa, i odlatuje, nie zostawiając żadnego śladu w powietrzu. Że jednak bohaterowie nasi nie są skowronkami, lecz ludźmi z krwi i kości, na których czytelnik natknąć się może na każdym prawie kroku, kiedy najmniej o nich myśli, wolimy zaspokoić jego ciekawość co do głównych osobistości tego prawdziwego opowiadania.

Hrabiostwo de Pineda przebywają obecnie w Berlinie, gdzie Pepito zajmuje ważne stanowisko dyplomatyczne. Mają ślicznego synka i są bardzo szczęśliwi.

Don Recaredo i Rosita Pinna już nie żyją; oboje padli ofiarą odnośnych ideałów i motorów swego życia.

Don Recaredo, jak już wspominaliśmy gdzieś indziej¹⁾, dzielił swą moralną istotę pomiędzy dwa prądy: bojaźni przeciągów, oraz zaziębienia i zamięłowanie w galanterii. Ażeby pogodzić te dwa sprzeczne bieguny na swej łysej głowie, wychodził na ulicę w peruce, która osłaniała mu czaszkę, podczas gdy kapelusz co chwila wlatywał w powietrze.

Pewnego dnia przejeżdżać miała przez Z* pewna królewskiej krwi osoba, dla której Don Recaredo płonął najbardziej idealnym zapalem. Już na dwie godziny przed nadejściem pociągu cały dworzec i platforma zalane były tłumem publiczności. Don

¹⁾ Mowa tu o powieści autora p. t. „Kawka,” gdzie występuje również powyższa postać. (*Przyp. tłum.*).

Recaredo, wystrojony wedle wszelkich wymagań etykiety, z krzyżem Karola III-go w butonierce, wspinał się na palce, aby choć zdaleka dojrzeć dostojną damę. Wreszcie pociąg królewski, zdobny w hiszpańskie flagi, powiewające pod bladym, marcowym niebem, wpadł ze świstem na stację i w tejże samej chwili rozległ się huragan okrzyków rozentuzyzowanego tłumu. Don Recaredo, porwany ogólnym uniesieniem, zapomniał o zwykłej przezorności, chwycił jedną ręką za kapelusz, drugą za perukę i machając obydwojema w powietrzu, wrzeszczał na całe gardło:

— Niech żyje!

Nieszczęsny! Chłodny, zdradziecki powiew wiatru musnął jego spoconą łysinę; Don Recaredo uczuł dotkliwy ból w boku, przymknął oczy, schylił głowę i już jej więcej nie podniósł. Był sparaliżowany.

Nie miał nawet czasu podyktować swego epitafium; odwieziono go bezwładnego do domu, gdzie w trzy dni potem, wypowiedawszy się i przyjąwszy ostatnie Sakramenty, umarł spokojnie. Śmierć wykreśliła go z liczby żyjących, bank z listy urzędników, niewdzięczność z pamięci przyjaciół i znajomych.

Zupełnie inne przyczyny spowodowały śmierć Rosity Pina. Organizowała się wielka pielgrzymka do Rzymu i Teresa wpływem swoim sprawiła to, że przyjęto do grona pątników i Rositę. Ta ostatnia nie wiedziała poprostu co czynić z nadmiaru szczęścia; odwiedzenie świętego miasta było marzeniem jej życia, marzeniem, jak jej się słusznie zresztą zdawało, tak niedościgłem, że nigdy nawet nie pomyślała o tem, że mogłoby się ziścić. Płucząc i śmiejąc się naprzemiennie, przygotowywała swoje manatki

z podobnemi uczuciami, jakie musiały ożywiać Sebastjana Elcano, gdy wsiadał na pokład swojej „Victorii,” ażeby odbyć wielką podróż naokoło świata.

Raz znalazłszy się w Rzymie, dała pełne ujście swojej—jak się wyraziła Pepita—manii obieganania kościołów.

Jednego dnia przyszła jej chęć zwiedzenia historycznej świątyni św. Pawła *di tre fontana* po za murami Rzymu, gdzie się przechowują trzy cudowne źródła, jakie wytrysnęły, gdy głowa św. Apostoła w trzech podskokach potoczyła się po ziemi. Rosita Pinna, uniesiona zapalem gorliwym, choć dzień był zimny, tak się opiła wodą z każdego źródła, że do stała gwałtownych boleści i po trzech dniach stanęła u wrót śmierci.

Teresa i ojciec Rodriguez, który stał na czele pobożnej gromady pątników, nie odstępowali na chwilę chorej. U progu przyszłości ta prosta i czysta dusza przebiegła pamięcią całą swą długą wędrówkę na ziemi i jeden tylko wyrzut sumienia znalazła: w 1815 roku wyhaftowała parę szelek dla Riego, i może przyczyniła się tem do rozpowszechnienia błędów liberalizmu, tyle zgryzoty Kościołowi sprawujących.

— Bóg z toba, pocziwino — rzekł ojciec Rodriguez, nie mogąc się od łez i śmiechu powstrzymać. — Zobaczysz, jakie ci Pan Bóg przyjęcie zgotuje.

Uśmiechnęła się konająca, a jej Anioł stróż, uśmiechając się również, zabrał ją do nieba.

Pepita Ordenez trwa dotychczas w panieństwie i roztyła się ogromnie. Nie dalej, jak przed rokiem, na jednym z kostyumowych balow ukazała się przebrana za pasterkę.

— Cóż to za strój?—zapytała któraś z pań.

— Alboż nie widzisz? Wdzięcznej owczarki która zjadła już całą swoją trzódkę.

— Nie, nie — odparła inna, znana ze złośliwości. — To strój starej panny, niezadowolonej ze swego stanu.

Spełniło się więc na Pepicie to, co powiedzieliśmy na początku tego opowiadania: Żadna królowa salonów nie była nigdy aniołem domowego ogniska.

ŻABIĄK.

Kończyła się jesień i cała natura przybierała ten pozór słodki a smętny, właściwy wszystkiemu dobru, jakie się kończy: liście opadają, kwiaty więdną, światło blednie, mgły włóczą się po ziemi, rzeki zwalniają biegu, nim je lód zupełnie znieruchomi, a duszę ogarnia głęboka melancholia, płynąca z tajemnych podobieństw tych obrazów natury z życiem ludzkim. Tak samo mijają lata, jak liście z drzew lecące, tak więdną uczucia, pierzchają złudzenia, wątłeje umysł, życia prąd wartki słabnie, aż lód śmierci znieczuli go na wieki...

Ten odcień smutku padał na górzystą okolicę R. i nadawał większą jeszcze grozę i ponurość najezającym ją szczytom. Wiedzie tamtędy wążka, mało uczęszczana drożka, która, wijąc się węzłem po spadzistościach, łączy się nieopodal przydrożnej karczmy z bitym gościńcem, z Kadyksu do Madrytu wiodącym.

Gdyby jakieś inne, oprócz boskiego, spojrzenie mogło być przeniknąć pewnego listopadowego wieczora wgląd dzikiego jaru, którego dnem biegnie owa drożka, byłoby się zatrzymało ze zdumieniem, a może z rodzajem przestachu, na grupie podejrzanego wyglądu, złożonej z mężczyzny, kobiety i dziecka, szybko posuwającej się naprzód.

Mężczyzna był ślepcem odpychającej powierchowości: stary piłśniowy kapelus, o poszarpanych i zatuszczonych skrzydłach, ocieniał jego twarz ponurą; popielata burka, połatana i brudna, której rękawy, związane na końcach sznurkami, tworzyły sakwy, okrywała go, odsłaniając nogi o potężnych łydkach, wykrzywione trochę: jedne z tych, którym zdaje się czegoś brakować, jeśli nie dźwigają kajdan. Na ramieniu niósł zabrudzoną gitarę, jedną ręką opierał się na wysokim, góralskim kiju, a drugą trzymał się spódnicy prowadzącej go kobiety. Ta była tego samego wieku i wyglądu, co jej towarzyszy; na twarzy jej szkaradnie oszpeconej ospą, widniały ślady nędzy i występku; szła z trudnością, niosąc na plecach wielkie zajdy, pełne, jak się zdawało, gałganów, przyborów kuchennych i innych rupieci.

Z tyłu za nimi biegł zadyszany ośmioletni chłopak, mający za całe ubranie podarte, krótkie spodnieki i koszulę w łachmanach, przez którą przeglądało jego ciało białe, lecz brudne, podobne do zakopczonej słoniowej kości.

Niósł on także na plecach tłumok, za ciężki na jego wiek, pełen drukowanych piosenek i romansów, i musiał biedz ciągle, aby nadążyć posuwającej się szybko parze; chwilami jednak zatrzymywał się, okryty potem, bez tchu i widząc, że tamci nie zwalniali kroku, wołał rozpaczliwie:

— Mamo, mamó! Nie mogę już!

Kobieta wtedy odwracała twarz wykrzywioną złością, krzycząc:

— Ja ci tu dam, przeklęty bębnie! Ruszaj mi zaraz!

Ślepiec odwracał się także i grożąc mu kijem, mówił cicho do kobiety z przerażającym okrucieństwem w głosie:

— Roztrzaskaj mu głowę, Cachana! Skręć mu kark i skończymy z nim na zawsze!

Kobieta zaciskała pięści, klnąc i narzekając, i przyśpieszała jeszcze bardziej kroku. I tak szli po tej kamienistej, okropnej drodze, podobni do dwóch szatanów, wlokących za sobą niewinną duszę.

Nagle zatrzymali się oboje na brzegu drogi, zamienili z sobą słów kilka, żywo gestykulując i skręciwszy w bok, zaczęli się wdrapywać na spadzią ścieżkę w górę wąwozu, wśród zarośli wydeptaną.

Dziecko uczyniło wtedy rozpaczliwy wysiłek i zaczęło biedz, co sił, lękając się, że lada chwila towarzysze znikną mu z oczu za krzakiem.

Cachana szła szybko, jak gdyby świadoma drogi, ciągnąc za sobą ślepcę; ale kręta, pełna gałęzi i wybojów ścieżka utrudniała jego chód niepewny, co pozwalało dziecku trzymać się z nimi jako tako w mierze.

W ten sposób zagłębiali się w coraz gęstszy i dziksz las, aż doszli do naturalnej grotty, przytulku pasterzy i bandytów, utworzonej w zagłębieniu dwóch skał, które zewsząd zamykały horyzont, pozwalając widzieć tylko szmat nieba, pokryty sinymi chmurami.

Silny wiatr, podnoszący się w tej chwili, pędził je przed siebie z ponurym świstem.

Cachana zrzuciła na ziemię zajdy i nie rozwiązując ich, zaczęła rozglądać się i chodzić na wszystkie strony z jakimś złowrogim niepokojem, podobnym do lęku, jaki ogarnia zbrodniarza przed popełnieniem występnego czynu.

Las, osuwający się w dół prawie prostopadle za skalami, tworzył rodzaj kaskady, której dnem płynął wartki strumyk; można było tam zejść, ale z wielkim trudem.

Cachana wróciła do grotty z pękiem suchych gałęzi, pozbieranych na ziemi.

Ślepiec usiadł na odłamku skały, położył kij obok siebie, wyjął małą torebkę z króliczej skórki,

dobył z niej hubkę i krzesiwo i zapalił wstrętnie brudną, jak wszystko, co do niego należało, fajkę.

Po niejakej chwili nadbiegł zadyszany dzieciak. Rzucił się na ziemię w grocie i zaczął rzewnie płakać.

Cachana pochwyliła go brutalnie za włosy i podniosła.

— Cicho bądź, Żabiak, słyszysz, cicho! — zawołała, zrywając mu z pleców tlomok z książkami.

Chłopak rozkrzyczał się głośnie pod czułem dotknięciem matki, a ślepiec zaczął się wykrzywiać ze złości, jakby opętany przez złego ducha.

Cachana, klnąc i złorzecząc, wydobyła z zajdów kawałek chleba, drewniany dzbanek i zardzewiały żelazny kociołek.

— Cicho, bębnie przekłety! — zawołała, ciskając dzbanek dziecku. — Cicho! Bieżaj po wodę na zupe.

— Nie pójdę! — odpowiedział dzieciak, rzucając się znów na ziemię.

Kobieta kopnęła go z gniewem.

— Nie pójdziesz? Ja cię tu zaraz rozumu nauczę! Ruszaj co żywo, bo ci kości połamię.

— Nie pójdę, boję się!

— Boisz się? A potrafisz wyrywać zęby powieszonym? No, żywo, bo jak stracę cierpliwość...

— Nie mogę, matko, nie mogę! — jęczało rozpaczliwie dziecko, pokazując jej sine, obolałe, pokrwawione stopy.

— Jak nie możesz na nogach, to rznij na czworakach.

— Nie pójdę!

— Żabiak, nie doprowadzaj ty mnie do złości; żebyś mi duszy w rękach nie zostawił!...

Ślepiec nic się nie odzywał, ale usłyszawszy energiczne: „Nie pójdę!” zaklął straszliwie i z taką furją cisnął kijem, że złamał się na dwoje o skałę; poczem omackiem skierował się ku chłopcu, wycią-

gając przed siebie swe ohydne, do szponów podobne palce, jakby go niemi chciał rozszarpać na kawałki.

Przerażony dzieciak skulił się i zdrętwiał ze strachu; ale Cachana rzuciła się, jak megera, na ślepeca i jednym pchnięciem cisnęła go na skałę, na której przedtem siedział.

— Zostaw go! — wrzasnęła — albo ci te ślepe gały wydrapię!

Wtedy wystraszony dzieciak wziął dzbanek i wydając okrzyk bólu i złości, spuścił się ku strumieniowi, czepiając się krzaków, aby nie spaść.

Ale w miarę jak schodził, ból i złość znikaly w nim przed ogarniającym go strachem: dzika pustka tych porosłych gąszczem wyniosłości, piętrzących się dokoła niego, głęboka, ciasna, przerywana tylko poświstami wiatru, czarne chmury, przewalające się w zapadający coraz gęstszy mrok — wszystko to składało się na całość, mogącą zdjąć trwożą każde serce, a cóż dopiero biednego, ośmioletniego dziecka.

Zsunawszy się jako tako w dół, Żabiak położył się na ziemi, aby napełnić dzbanek w bieżącej szybko wodzie, poczem, czerpiąc siły w strachu, zerwał się i zaczął, jak mógł najspieszniej, drapać się pod górę z powrotem.

Ale gdy wydzwignął się wreszcie na wążką płaszczynę, na której znajdowała się grota, stanął, jak wryty, otwierając swe piękne, wielkie oczy.

Grota była pusta, w głębi jej widać było tylko pęk suchych gałęzi i złamany na dwoje kij ślepeca.

Dzieciak upuścił dzbanek i obracając na wszystkie strony swój wzrok wylekły, drżący, jak listek, zaczął wołać z największą rozpaczą i trwożą:

— Mamo, mamó! Wuju Canijo!

Nikt mu nie odpowiedział. Dziecko zalał swe chude rączyny i wybuchnęło temi gorzkimi łzami niepokieszonego bólu i bezgranicznej rozpacz,

jaką w duszy sprawia opuszczenie, straszne opuszczenie, jedyne, jakie zdołało wyrwać z ust człowieka — Boga, Jego jedyną skargę na ziemi. Łzy takie bywają u człowieka karą lub prośbą, u dziecka zaś jedną z tych niezbadanych dróg, jakimi się kieruje Opatrzność.

— Mamo, mamó! Wuju Canijo! — powtarzał chłopczyzna, wyteżając wzrok w gęstwinę lasu, zkad żaden dźwięk, żadne echo nie niesło mu najsłabszej odpowiedzi, ani nadziei.

Wówczas ogarnął go rodzaj szału; zaczął biedz bez pamięci w tę i drugą stronę, zagłębiając się coraz więcej w las, wołając ochryplym, rwącym się w rozpacznych wysiłkach głosem swój żalony, błagalny okrzyk:

— Mamo, mamó! Wuju Canijo!

A tymczasem mrok zapadał coraz gęstszy, skały nie odcinały się już na niebie, tak czarnem, jak one; krzyk dziecka przeszedł w jęk, z jęku w rżenie, a ono wciąż biegało, wciąż szalało, wciąż miało jeszcze nadzieję! Bo nadzieja nie mogła przestać się uśmiechać jego niewinności, niezdolnej pojąć całej wyrafinowanej ohydy tego występku.

Nagle usłyszał szmer, który nie był szmerem wiatru, ujrzał jakąś czarną masę, otwierającą sobie przejście wśród splecionych gałęzi, uczuł, że ta masa czarna i włochata rzuciła go o skałę, wznoszącą się za jego plecami i nieszczęsne dziecko pozostało tak nieruchome, zdrętwiałe, z szeroko rozwartymi oczyma, z wpijającemi się w ciało paznogciami, z wyciągniętą szyją i natężonym słuchem, jak gdyby nie chciało stracić ani jednego poświstu wiatru, który chwilami wkręcał się pomiędzy gałęzie, sycząc, jak wąż, chwilami ryczał na szczytach, jak lew, a chwilami jęczał w jarach i pniach spróchniałych, jak posępna dusza.

II.

Brzask nowego dnia oświetlił Żabiaka, leżącego bez zmysłów u stóp skały, na którą w przejściu rzucił go olbrzymi dzik, w których te lasy obfitują.

Gdy pierwsze promienie słońca zaczęły złościć wierzchołki lasu, biedny chłopczyzna odzyskał przytomność, rozejrział się dokoła z przerażeniem, chciał się dźwignąć i opadł z jękiem na ziemię.

Pozostał tak chwilę, zbierając myśli, poczem, odzyskując z wolna pamięć wypadków ubiegłej nocy, wybuchnął płaczem.

— Mamo, mamó! Wuju Canijo! — zaczął wołać, ale głosem tak słabym, że dla niego samego zaledwie dosłyszalnym.

Zbierając resztę sił, podniósł się, postąpił parę kroków i padł na ziemię wyczerpany. Gorączka go ogarnęła, wszystko zaczęło się kręcić dokoła niego: drzewa, krzaki, kamienie, skały. Obłoki przybierały w jego oczach kształty dziwaczne, zdawało mu się, że las pełen jest jakichś strasznych i fantastycznych postaci, o wykrzywionych twarzach i olbrzymich zębach, że postacie te otaczają go kołem i zaczynają tańczyć dokoła niego, najprzód z wolna, potem coraz prędzej, przy akompaniamencie brzęczących, dziwnych odgłosów, wśród których z pewną nadzieją zdawało mu się, że rozróżnia dźwięki gitary wuja Canijo, bardziej rozstrojonej niż kiedykolwiek i ochryply głos Cachany, powtarzającej swój zwykły wykrzyknik: „Przeklęty bębnie! Przeklęty bębnie!”

Nagle, wśród tych wszystkich urojonych odgłosów, doleciał go czysty, wyraźny dźwięk dzwonka.

W tejże samej chwili z po za krzaków ukazała się smukła głowa białej kozy, niosącej go u szyi. Dzieciak uczynił ostatni wysiłek, podniósł się, wyda-

jąc jęk stłumiony. Przestraszona koza znikła, a Żabiak zemdłał znów.

Po niejakej chwili zaszemrały otaczające go gałęzie, dając przejście wielkiemu owczarskiemu psu, który zbliżał się, węsząc. Pies ten zatrzymał się przy dziecku, jakby zdumiony, obwąchał je dwukrotnie, podniósł głowę, postawił uszy i zaszczekał donośnie.

Wtedy tą samą drogą nadszedł pasterz w podeszłym wieku i krzyknął przerażony, ujrawszy leżące wśród krzaków dziecko.

Zbliżył się do niego żywo, dotknął jego ciała i rąk, a przekonawszy się, że żyje, ściągnął sobie na głowę baranią skórę, którą miał przewieszoną przez plecy i zniknął zagłębiając się w las.

W kilka minut potem wrócił z czarką, pełną mleka świeżo udojonego, wlał go trochę dziecku w usta i nie czekając, aby przyszło do siebie, owinął je w ową wielką baranią skórę i wziął ostrożnie na ręce.

Poczem oddalił się tą samą drogą w towarzystwie swego psa.

III.

Noc nadeszła świeża i pogodna, jakimi bywają często listopadowe noce w Andaluzji, i głęboka cisza panowała nad folwarkiem płaskowzgórza D., którego olbrzymie pastwiska wznoszą się i ciągną het, daleko, przez labirynty leśne.

Gdzieniegdzie w oknach migały jeszcze światełka i słychać było męzki, czysty głos, śpiewający przy dźwiękach gitary owe śliczne andaluzyjskie piosenki, to wesole, to smutne, zawsze oryginalne i melanco-

lijnie piękne, które często, ku wielkiej ich krzywdzie, kaprys dyletantów przenosi z ich pól i pastwisk rodzinnych w zacieśnione ramy teatrów i salonów.

A przecież słowik inaczej śpiewa na gałęzi, u krawędzi swego gniazodka, niż między prątkami złoconej klatki.

Było to w roku 1854 i pasterze andaluzyjscy w ten niewinny sposób umilali sobie godziny odpoczynku, gdyż nie doszły do nich jeszcze pod postacią dzienników owe „społeczne dynamity,” z których wybuchają rewolucye i wnoszą się rusztowania.

Na folwarku, przy ogromnym kominie, siedział kołodziej Baptysta, wieczerzając ze swoją żoną i czworgiem małych dzieci. Obok niego siedziała inna jeszcze kobieta w średnim wieku, która zaledwie tknęła stojącej przed nią miseczki, napelnionej świeżem, posilnem koziem mlekiem.

Miała ona na sobie suknię z ciemnego perkalu, a na głowie związaną pod brodą czarną, jedwabną chusteczkę, oznakę żaloby. Nazywała się Consolazida, była siostrą kołodzieja i straciła w ciągu jednej nocy męża i dwóch synów na cholere, która tego lata grasowała straszliwie w Andaluzji. Sama także uległa zarazie, ale wydostawszy się szczęśliwie z jej szponów, przybyła spędzić czas jakiś u brata. Mieszkała w U., gdzie razem z mężem od wielu lat zajmowała się wyrabianiem mat i gdzie im się bardzo dobrze powodziło.

Biedna kobieta płakała rzewnymi łzami; przyszedł właśnie ze wsi jej kum, wuj Ventura, a widok jego po tylu przebytych nieszczęściach otworzył nanowu rany jej serca.

— No, no, kumo, nie płaczcie — mówił stary wieśniak. — Nie trzeba się dawać biedzie. Przyjdą lepsze czasy i pozwolą wam o tamtych złych wspomnieć.

— Zapomnieć? — powtórzyła wdowa, łkając.— Chyba trumna będzie dla mnie zapomnieniem! Mam ja w sercu takie trzy rany, które się już nigdy nie zagoją.

— I cóż wam na to łzy pomogą? Wierzajcie mi, kumo, mnie, com jest stary i znam ten świat, jak zły szeląg. W życiu łzy wcześniej się kończą, niż cierpienia, a to, co się raz stało, już się nie odstanie, choćby kto oczy wyplakał.

— Wiem, kumie, wiem, ale co począć, kiedy się serce kraje i mało z bólu nie pęknie? Co to za noc była, wuju Ventura, co za noc! Matko Przenajświętsza! Kajetan pierwszy padł przy robocie, jak piorunem rażony. Potem Ramon dostał wymiotów, w końcu młodszy chłopak... Ja zostałam sama między nimi, sama, mój kumie, bez żadnej pomocy, bez lekarstwa, bez niczego, bez żadnej pomocy, bo tego dnia właśnie ludzie marli, jak muchy, i nie można było się doprosić ani doktora, ani apteki, ani kogo z sąsiadów... Tu tych trzech wije mi się w kuczach, jak węże, i prosi mnie, abym im nie dała umierać bez świętej spowiedzi, żebym sprowadziła księdza... A tu dwóch ich tylko zostało w całej wsi, a więcej niż trzystu chorych... Matko Boska! Myślałam, że mi się w głowie pomiesza! Miałam w alko-
wie obraz Świętego Józefa... Poleciałam tam, padłam przed nim na kolana i mówię: „Święty Józefie! Patronie nieszczęśliwych! Do Boga oni należą, nie do mnie i skoro mi ich chce zabrać, niech się dzieje święta Jego wola! Ale dopomóż mi, o Święty Orędowniku, żeby pomarli w łasce, śmiercią bogobojną! Nie dopuszczaj, żeby zeszedli z tego świata bez świętej spowiedzi... Niech ich tracę w dobrą godzinę, jeno ulżyj im męki, uświęć ich konanie!...”

Tu umilkła biedna kobieta, jakby łkając się mówić dalej.

— Wtedy — ponowiła po niejkiej chwili —

zrobiłam ślub pewien, jeżeli Święty Józef dopomoże mi znaleźć księdza... Nałożyłam chustkę na głowę, aby iść na probostwo, zbiegam ze schodów i... o! mój kumie, aż mi wszystkie włosy dębem stanęły. Bo oto na schody wchodził jakiś ksiądz staruszek, którego nigdy dotąd nie widziałam.

— Są tu chorzy? — pyta.

— Trzech... Już konają!

Wówczas ksiądz wszedł do izby i wyspowiadał mi ich wszystkich jednego po drugim... A oni, biedacy moi, tak się potem uspokoiłi, jakby ich w wodzie święconej wykapano... Wkrótce przyszła śmierć... Ojciec oddał Bogu duszę o północy, Ramon o drugiej, najmłodszy dotrwał do piątej, właściwie do chwili, kiedy zadzwoniono na Anioł Pański...

Łkania przerwały mowę biednej wdowie; bratowa jej płakała także. Baptysta, dla pokrycia wzruszenia, zapalił fajkę.

Wdowa ciągnęła dalej:

— Po dwóch dniach i mnie choroba zmogła..

— Nie mówcie, kumo, że was zmogła! — przerwał wesoło stary Ventura — powiedzcie, że wyście ją zogli. To mi chwata kobieta, która się nawet cholerze nie dała! A jak to tyje teraz, na psa urok!

— To prawda, wuju Venturo, to prawda. Dzieki za to niech będą Św. Józefowi, że się mną zao-
piekował.

— Jeszczeby też! Wybraliście sobie, kumo, orędownika, jakiego drugiego w całych niebiesiach niema. Wiecie wy, matko — ciągnął dalej poczciwy staruszek, chcąc trochę biedną wdowę rozerwać — co ten święty patryarcha uczynił raz, gdy mu Wszchemocny jednej łaski, o którą prosił, odmówił?

— Oho! mamy bajkę — rzekł Baptysta. — Że wy też, wuju Ventura, zawsze coś wymyślić musicie.

— Żadną bajkę, tylko czystą prawdę — odpowiedział stary. — A było to tak: Przychodzi raz do nieba jeden taki, co sobie był św. Józefa za patrona obrał, i chce wejść, ale jakże ma wejść, kiedy był cały powalany atramentem, bo to była, z przeproszeniem, pisarska dusza. Święty Piotr powiada mu, żeby sobie precz szedł, ale ten jak zacznie lamentować a prosić, aż Św. Józef usłyszał. Jak go usłyszał, tak idzie w te pędy do Pana Boga i prosi Go za ową duszą, że to niby jej patronem był. Ale Pan Bóg powiada mu, że nie.

— Panie Boże! — mówi Św. Józef — jakoż to może być, kiedy on się całe życie do mnie modlił?

— Do ciebie? — powiada Pan Bóg. — On tobie świeczkę zapalał, a dyabłu cały las. Tak on się do ciebie modlił!

Od słowa do słowa, jak się zaczęli przekomarać, czy ma wejść, czy nie ma wejść, tak Święty Józef, że to bawarki w żyłach nie ma i wie, gdzie go trzewik ciśnie, powiada:

— Ha! kiedy tak, to i ja sobie pójdę.

— Z Panem Bogiem—odpowiada mu Pan Bóg. Święty Józef nie spodziewał się tego, ale nie traci fantazyi, tylko idzie z kapeluszem w ręku ku drzwiom, aż na środku drogi zatrzymuje się i mówi:

— Wszystko to dobrze, ale ja sam nie pójdę. Już tak jest w prawie boskiem i ludzkim, że żona ma być razem z mężem. Więc ja swoją żonę z sobą zabiorę.

— A zabierz!

Święty Józef woła na Najświętszą Pannę, żeby kładła okrywkę i szła za nim. Pan Bóg ani drgnie.

— A no! — mówi Św. Józef — skoro zabieram żonę, to zabrać muszę wszystko, co do niej należy!

— Zabieraj!

— Mam ja tu wszystko spisane do ostatniej szpilki.

I Św. Józef staje sobie na środku nieba, wyjmując z kieszeni kamizelki papier, na którym napisana była litania, i zaczyna:

— *Królowo Anielska!* Dobrze! Chodźcie tedy wszyscy aniołowie!

— *Królowo Patryarchów!* Chodźcie wszyscy Patryarchowie!

— *Królowo Proroków!* Chodźcie wszyscy Prorocy!

I tak dalej, przez całą litanię. Kumie! jak ci doszedł do: *Królowo Wszystkich Świętych!* tak Pan Bóg już strzytać nie mógł i powiada:

— Słuchaj-no, Pepe, idź, wyszoruj twego morsa i niechaj wejdzie. Bo jeżeli się będę upierał, to ty tu mnie samego w niebie zostawisz. Umyj go, umyj co żywo!

— A gdzie go umył, wuju Venturo? — zapytał jeden z dzieciaków, który oparłszy się o kolano starca, słuchał go z szeroko otwartą buzią.

— A gdzie go miał umyć, głuptasie! — odpowiedziała mu matka. — W konfesyjonałe go umył, bo to jedyna balia, gdzie się piorą takie plamy.

W tej chwili wbiegł wielki, owczarski pies i zaczął się łaścić kołodziejowi i jego dzieciom, machając radośnie ogonem.

— Baczość! — zawołał Baptysta. — To pies Bartola.

— Niech będzie pochwalony! — odezwał się, wchodząc, pasterz, którego już znamy.

— Na wieki! — odpowiedziały kobiety.

A widząc, że się zbliża do stołu, dodały:

— Siądźcie i posilcie się trochę, wuju Bartolo.

— Bóg zapłać, niech wam pójdzie na zdrowie — odpowiedział nowoprzybyły.

— Zkądżeście się tutaj wzięli? Co was sprowadza? — zagadnął kołodziej.

— Przybyło dzisiejszej nocy w górach jagnię, chociaż żadna owca się nie okociła — rzekł pasterz.

— I przychodźcie poszukać mu ojca chrzestnego? — rzekł wuj Ventura.

— Oj! przyda on mu się — odparł pasterz, składając na ziemi skórę, w którą zawinięty był Żabiak. — Jagnię to takie, co ma dwie nogi, a białe i piękne, jak kościelna świeca.

I mówiąc to, odwinął skórę, ukazując wszystkim biedne dziecko, nawpół obnażone. Silna gorączka zabarwiła karminem jego policzki, używając mu złudnego pozoru zdrowia i piękności.

Obecni wydali okrzyk politowania i otoczyli dziecko, tworząc mimowiednie jeden z tych wzruszających starodawnych obrazów, przedstawiających Dzieciątka Jezus w betlejemskim żłobku, otoczone przez pasterzy.

Bartolo opowiedział wtedy, jak i kiedy znalazł chłopca i co z niego zdołał wydobyć, nim go do reszty gorączka opanowała. Ojciec jego umarł na galerach; nazywali go *Żabą* i ząd pochodzi przydomek dziecka *Żabiak*; matką jego nazywała się Cachana i według wyrażenia dziecka, *weszła się* ze ślepcem, zwanym wujem Canijo, który zarabiał na życie, grając na gitarze po placach i ulicach.

— Wuj Canijo — powiedział mu chłopiec — miał do mnie złość i chciał mnie zabić... Zaprowadzili mnie do lasu, a potem uciekli oboje z matką, zostawiając mnie samego.

Wszyscy struchleli, wzruszeni do głębi; ale najwięcej współczucia, żalu, tkliwości, malowało się na twarzy wdowy. Na wpół podniosły się z siedzenia, z rękoma złożonemi na falującej gwałtownie

piersi, słuchała, nie spuszczać oka z opowiadającego. Gdy skończył, rzuciła się na dziecko, wołając:

— Cud! cud! To dziecko jest moje! Św. Józef mi je przysyła... i ja je biorę!

I pochwywszy je na ręce, przyciskała i tuliła je do piersi.

Zdziwiona i wystraszona bratowa jej, wstrzymała ją za rękaw, wołając:

— Co mówisz, Consolacion? Co mówisz?

— Czyż nie powiedziałam wam, że w tem mojem nieszczęściu uczyniłam ślub Świętemu Józefowi — odrzekła wdowa, płacząc. — A oto jaki uczyniłam ślub: zaopiekować się przez całe życie pierwszym biedakiem, który do mnie ręce wyciągnie. A patrzcie, patrzcie, jak ten aniołek tuli się do mnie — dodała, gdyż wistocie chłopczyzna opuścił główkę na jej ramię i otaczając szyję pocziwej kobiety chudemi rączynami, powtórzył w gorączkowym majaczeniu swój zwykły okrzyk:

— Mamo! mamó! Wuju Canijo!

— Mamo!... Tak, mój aniołku, będę ci mamą! — rzekła wdowa, szlochając. — Jedna matka cię opuściła, ale druga się tobą zaopiekuje. Dwoje dzieci straciłam. Św. Józef wraca mi jedno...

Baptysta pokiwał głową. Był to człek roztropny i spodziewał się, że dzieci jego odziedziczą spadek po owdowiałej i bezdzietnej siostrze; słowa jej obudziły jego chciwość.

— Zostaw ją, niech robi, jak chce — rzekł stary Ventura, jak gdyby czytał w jego myślach. — Spełni się to, co jest napisane nad drzwiami przytułku w Xeresie: *Ojciec i matka opuścili mnie, ale Pan Bóg mnie przygarnął...*

W trzy miesiące potem wdowa, zupełnie odzyskawszy zdrowie, wróciła do swojej wsi, zabierając dziecko z sobą.

W przeddzień jej odejścia kołodziej wziął ją na stronę:

— Czy zastanowiłaś się nad tem, co chcesz uczynić? — rzekł. — Ojciec tego chłopaka umarł na galerach... matka jest ostatnia ladacznica. Consolacion, pamiętaj, że niedaleko jabłko pada od jabłoni.

— Alboż to biedactwo wybierało sobie rodziców? — odparła wdowa.

— Zapewne, że nie, ale i tak ich zła krew płynie w jego żyłach. Wspomnij sobie zawsze na tego pasterza, co w górach znalazłszy małe wilczę, wykarmił je mlekiem owcy, wypieścił, wychował, myśląc, że sobie wiernego psa wyhołubi... A wilk tymczasem, podrosłszy, uciekł do lasu, pożarłszy mu przedtem najpiękniejsze owce...

Wdowa zamyśliła się przez chwilę.

— Co ty zamyślasz uczynić z synem galernika? — zapytał brat, nabierając trochę nadziei, że zdołał ją przekonać.

— Nauczę go tego, co sama umiem... Robić maty.

— Pasterz uczył wilczę czekać, a ono taki skończyło na wyciu, jak wszystkie wilki.

— Powiedz mi, Baptysto — rzekła wdowa, bystro wpatrując się w brata — czy uczył go on także katechizmu?

— Naturalnie, że nie! Cóż za pytanie?

— A widzisz! Gdyby ten pasterz mógł był nauczyć wilczę katechizmu, byłby z niego zrobił więcej niż psa, byłby zrobił z niego jagnię. I ja to zrobię z tego chłopaka.

IV.

Consolacion dotrzymała słowa nie bez wielkich trudności i wysiłków, gdyż Żabiak był prawdziwym wilczęciem. Fatalne wspomnienie ojca, występne życie matki i złe przykłady Canija wzbudzały w nim przedwześnie zarodki zgubnych namiętności. Ale ta wiejska kobieta, która nie posiadała żadnej innej wiedzy, prócz umiejętności robienia mat, i nie czytała żadnej innej książki, prócz katechizmu, znalazła w tych dwóch żywiołach, tak odmiernej natury, dwa jedyne bieguny, mogące doprowadzić do równowagi zwichnięte młodociane serce: pracę i religię. Posiadała przytem, jakby intuicyjnie, ten takt i tę roztropność, jakich osoby poświęcające się wychowaniu nabywają dzięki długiemu doświadczeniu i rozległym obserwacyom, a miała nad wielu z nich tę wyższość jeszcze, iż rozumiała, że niema takiej pedagogiki na świecie, któraby nie potrzebowała poparcia modlitwy, sprowadzającej na duszę najdrogocenniejszy dar: łaskę Bożą. Bo rozumny kierunek może do pewnego stopnia zmienić i pokonać złą naturę, ale sprowadzić ją ze złej drogi na dobrą, tego tylko łaską Bożą dokonać jest w stanie.

Tak to pojmowała i w myśl tego postępowała ta pobożna, prosta kobieta, a żarliwa modlitwa sprowadzała obficie tę ożywczą rosę na biedną istotę, którą ludzie opuścili, a którą zaopiekowało się niebo. Wytrwałość wdowy tępiła z wolna nasiona złych skłonności w sercu chłopca, a łaska uzupełniała jej dzieło, szczepiąc w nim i rozkrzewiając święte ziarna cnoty.

I oto, w dziesięć lat ptem, Żabiak był nie tylko uzdolnionym rzemieślnikiem, ale nadto młodzieńcem religijnym i przykładowym, a jego uczciwość

zwiększała wciąż i tak znaczną klientelę warsztatu wdowy.

Pewnego dnia zawołano go do domu adwokata dla naprawy mat na zimę. Siedząc na ziemi z wielką igłą w ręce, cerował on matę w przedpokoju; drzwi uchylone do sąsiedniego pokoju, pozwalały mu widzieć i słyszeć, co się tam działo.

W wysokiem krzeselku na kółkach, zamykającym się z tyłu, siedział synek adwokata, chory na nóżki. Ojciec podarował mu jedno z tych pudełek lubianych, które zawierają w sobie całe gospodarstwo: domek drewniany, drzewa z pomalowanych na zielono wiórków, płotki, krówki, owieczki, kozy i pasterzy.

Dzieciak rozłożył to wszystko na metalowej deszczulce, tworzącej rodzaj stoliczka na przodzie krzeselka, i przyglądał się w zachwycie swoim bogactwom, jak prawdziwy bogaty ziemianin, odbywający przegląd całego swego dobytku.

Młodszy jego braciszek stał z boku; nie posiadał on żadnych wiejskich, ani miejskich włości, tylko twarzyczkę, jaśniejącą zdrowiem i kształtne, chyżę nóżki; założywszy rączki w tył, spoglądał z zazdrością na bogactwa brata. Powoli zbliżył się do niego, a kapitalista nieufnem okiem śledził każde poruszenie proletaryusza.

Obawy te były uzasadnione: ten ostatni miał nader niedokładne pojęcie o prawie własności; bezwątpienia mniemał się znajdować w owym złotym wieku, kiedy moje i twoje były wyrazami nieznanymi, i wyciągnawszy rączkę, porwał najtłustszą krowę. Powstał straszny hałas.

Pokrzywdzony właściciel porwał za pierwsze lepsze drzewo i cisnął nim w twarz napastnika, rozdrapując mu nosek; krew zagrzała namiętności,

równowaga społeczna została zachwiana, domy się przewracały; trzody pouciekały do lasów, drewniani pasterze popadali na ziemię, martwi ze strachu. Wśród tego zgielku ozwał się kobiecy głos z głębi mieszkania, uśmierzając bratnią walkę:

— Dzieci! dzieci! A to co za hałasy? Czy mam zawołać Cachany i wuja Canijo, ażeby was do worka wpakował.

Żabiak podniósł żywo głowę, błądy, znieruchomiała nagle.

Po raz pierwszy, od dziesięciu lat, imiona te obity mu się o uszy i zdziwienie, przestrasz, ciekawość owładnęły całym jego jestestwem.

W tej samej chwili ukazała się na polu walki stara służąca i rozdzielając w równej mierze klapsy, przywróciła porządek między bogaczem a wydziedziczonym.

Chciała już odejść, gdy Żabiak, ochłonawszy trochę ze wzruszenia, zatrzymał ją, pytając:

— Z przeproszeniem pani... Czy przypadkiem pani nie zna tej kobiety... Cachany... i wuja Canijo?

— Ja? Nie! — odrzekła staruszka, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Bo mówiła pani przed chwilą o nich tak... jak gdyby pani wiedziała kto oni są?..

— Juści, że wiem. To ta ladacznica i ten włóczęga, których jutro „garrotować”¹⁾ mają..

Piorun, padający u stóp Żabiaka, nie byłby go bardziej przeraził. Zbladł, jak ściana, i oparł się

¹⁾ „La garrota”, kara śmierci w Hiszpanii, zastępująca powieszenie.

o framugę drzwi, z obwisłemi rękoma, ledwo mogąc utrzymać się na nogach.

— Co ci to, chłopcze? Chory jesteś?—zapytała kobieta przestraszona.

— Ale czy to prawda?—wybełkotał Żabiak, nie słysząc jej. — Zkąd ta wiadomość? Kto to powiedział?

— Kto powiedział? A toć mój pan, który miał coś w tej sprawie do roboty i wrócił wcześniej. Chcesz go zobaczyć? Jest w swojej kancelaryi.

Żabiak skinął potakująco głową i chwiejnym krokiem udał się za staruszką, która zaprowadziła go do kancelaryi adwokata. Był to człowiek uprzejmy i litościwy; od pierwszego rzutu oka uderzyło go wzruszenie i urywane zapytania chłopca; odpowiedział jednak na nie, nie zdradzając żadnego zdziwienia.

Powiedział mu, że Cachana i Canijo zaplątani byli w okropną zbrodnię, popełnioną przed dwoma laty, w którą wchodziło morderstwo i grabież. Wytoczono im sprawę i dowiedziono winy, aczkolwiek ślepiec uparcie się jej wypierał, ale dowody były niezbita i skazano ich oboje na śmierć. Dodał, że wyrok ma być wykonany za dwa dni, gdyż kat wcześniej nie może przybyć, a ponieważ znał uczciwość tego chłopca i szanował bardzo wdowę, której był oddawna klientem, powiedział mu, że jeżeli coś bliżej obchodzi go w tej sprawie, ofiaruje mu się za pośrednika, o ile tylko sięga jego możność.

Te serdeczne słowa przeważały szalę heroicznego wysiłków, jakie czynił Żabiak, ażeby się wydawać spokojnym; popatrzył na adwokata z nieopisanym wyrazem bólu i osunawszy się na pobliskie krzesło, zasłonił twarz rękoma i wybuchnął płaczem.

Zacny adwokat zbliżył się do niego, pytając ze

współczuciem o powód tych łez i Żabiak, ulegając nieprzepartej potrzebie zrzucenia z serca gniotącego je ciężaru boleści, opowiedział mu swe smutne dzieje.

Zasmucony i zdumiony adwokat, napróżno starał się pocieszyć nieszczęśliwego chłopca. Ale ten zdawał się go nie słyszeć... Cały zatopiony w swem cierpieniu, wymawiał wyrazy bez związku, a w głębi duszy, wśród tysiąca gorzkich uczuć i niepewności, powtarzał sobie wciąż to pytanie: „Co czynić? O! Boże! Co czynić?”

W tym stanie ducha opuścił dom adwokata i zaczął błąkać się po okolicy, oczekując, aby nie przerazić wdowy, zwykłej godziny powrotu z roboty.

O zmroku wszedł do maciarni. Consolacion siedziała w sklepie, robiąc pończochę i rozmawiając spokojnie z dwiema sąsiadkami; chłopak, pod pozorem silnego bólu głowy, poszedł natychmiast na górę, do izdebki, służącej mu za sypialnię, i rzucił się w ubraniu na łóżko.

Zaczęła się wtedy dla niego ta godzina próby, godzina męki, której doskonały wzór zostawił nam Odkupiciel w Ogrodzie Oliwnym; godzina cierpień, godzina postanowień, które czasem czynią z człowieka, stosownie do strony, na jaką go przechyla, bohatera i nikczemnika, męczennika lub odstępce.

Próba biednego chłopca była okropna... Co czynić, Boże wielki, co czynić? — pytał się ciągle. Ścierpieć, żeby wszyscy we wsi pokazywali go palcem, aby w uszach dźwięczało mu znów zohydzone imię Cachany, żeby go nazywano ze wstrętem, z pogardą, a w najlepszym razie z politowaniem — *synem skazanej*.

Wszystka krew zakipiała w nim na tę myśl; skopał nogami łóżko, a ręce jego konwulsyjnie ści-

sneły poduszkę, jak gdyby dławiąc już pierwsze gardło, z którego ta nazwa wyszła.

Co począć? Czy uciec ztąd gdzieś daleko, gdzie nikt nie znałby jego hańby — uciec, wyrzekając się swego uczciwego zajęcia, dobrobytu, miłości tej samej kobiety, która go kochała, jak syna, którą on kochał, jak matkę? Co za ból, co za gorycz, co za bezdenne rozpacz na myśl o samotności, o pustce, jakaby go wtedy otoczyła na tym świecie!..

Znużenie fizyczne i moralna apatya wzięły wreszcie górę i chłopak pozostał na łóżku nieruchomy, nic nie myśląc, patrząc z osłupieniem w mdłe światelko lampki, którą pobożna wdowa paliła zawsze w izdebce Żabiaka przed obrazkiem, przedstawiającym ukrzyżowanego Chrystusa i Boską Królową aniołów... *Matkę Skazanego*, przyjmującą u stóp krzyża dziedzictwo hańby w oczach świata, jakie Jej Syn zostawił.

Zwolna z piersi Żabiaka zaczęły wydobywać się konwulsyjne łkania, które zamieniły się w płacz rzewny, lecz spokojny, poczem wszystko ucichło i słychać było tylko skwierczenie dogasającej lampki.

Po jakimś czasie ktoś zbliżył się do drzwi ostrożnie i uchylił je pocichu.

— Kto tam?—krzyknął Żabiak, unosząc się na posłaniu.

— To ja, synku—odpowiedziała wdowa, wchodząc do izdebki z zapaloną świecą, której płomień osłaniała ręką.

A stawiając świecę na podłodze i zbliżając się do chłopca, zapytała:

— Cóż to, nie rozebrałeś się?

Ten usiadł na łóżku i patrzył w dół ze spuszczoną głową, nie odpowiadając ani słowa. Wdowa wtedy spostrzegła, że coś nadzwyczajnego się stało.

Wzięła go za rękę—płonęły; dotknęła dłonią czoła—było jak ogień.

— Gorączkę masz, mój chłopcze!—wykrzyknęła przestraszona.

Żabiak podniósł wtedy swą twarz zmienioną i z tą szorstką otwartością, właściwą dzieciom ludu, rzekł bez żadnego wstępu:

— Pojutrze „garrotują” moją matkę... i wuja Canijo!

Wdowa osłupiała, słysząc te słowa. Nie rzekła nic, siadła tylko z boku na łóżku, składając z przerażeniem dłonie. Żabiak powtórzył jej wszystko, czego się dowiedział, a ona nie przerywała mu, szepcząc tylko:

— Matko Pocieszenia! Święty Józefie! Co my pocznjemy?

Żabiak zdawał się mieć gardło ściśnięte; wyrazy wychodziły zeń urywane, podobne do głuchych jęków.

— Ja—dodał wreszcie zwolna—pójdę jutro zobaczyć ją i zostanę przy niej dopóki... dopóki jej nie odprowadzę na cmentarz.

— Boże! co za szaleństwo!

— Szaleństwo?

— Tak, tak, mój synu! A tożby to było to samo, co zwichnąć sobie całe życie, a mnie serce na zawsze zakrwawić! Straciłbyś dobre imię! Jezus Marya! nie myśl o tem nawet.

— Więc czegoż się będziemy trzymać?—rzekł energicznie Żabiak. — Prawo jest prawem jednakiem dla wszystkich.

— Niema prawa na świecie, któreby do tego obowiązywało.

— Ależ to matka!—wykrzyknął chłopak, zrywa-

jąc się i stając na równe nogi.—Alboż co innego jest głosić przykazania, a co innego je wypełniać? Alboż nie uczyliście mnie sami, że czwartem przykazaniem boskiem jest czcić ojca swego i matkę swoją? A kiedy—ciągnął dalej z całą szorstkością i energią swego charakteru — kiedy bardziej potrzebować będzie matka moja, aby ją uczcił jej syn, jeżeli nie w chwili, kiedy mają jej zadać śmierć z ręki sprawiedliwości, na środku publicznego placu!

Gdy tak mówił, pierś jego wezbrała gwałtownie i wypadł z niej jęk, jeden tylko, ale straszliwy, jak nagły wybuch całego wulkanu bolesci...

Wdowa, słuchając go, cofnęła się trochę na łóżko, na którym siedziała i ze splecionymi dłońmi patrzyła na niego z rodzajem czci i uwielbienia, z jakim pobożny katecheta spoglądałby na bohaterstwo świętego męczennika. Była niemal przygnębiona własnym dziełem.

— Masz słusność, synu mej duszy, masz słusność—rzekła wreszcie, wstrząsając głową.—Powierzmy dom i dobytek opiece wuja Mateusza i jutro pojedziemy oboje, ale oboje razem... synu mój!

V.

Jest w katedrze w Z., w fasadzie od strony mostu, framuga, obwiedziona ciężką, żelazną balustradą, trochę nad ziemią wzniesiona, której proste drewniane drzewi zazwyczaj bywają zamknięte. Raz jeden tylko widziałem je otwarte i uczulem w sobie ten szczególnie dreszcz, przenikający wszystkie fibry,

jaki rzeczy wzniosłe wywołują w duszy, gdyż to, co tam w głębi tej framugi, ujrzałem, było najgłębszym, najlitościwiej wielkim objawem miłości chrześcijańskiej, natchnionej wiary, aby służyła za podporę nadziei.

Na okrytym kirem ołtarzu paliło się sześć świec, przedstawiając przed dużym, ciemnym obrazem, przedstawiającym Jezusa Nazarejczyka w drodze na Kalwaryę, niosącego krzyż na barkach i odzianego w rodzaj tuniki, w szatę zupełnie podobną do tej, jaką wdziewają skazańcowi, idącemu na śmierć. Ztąd obraz ten nazywa się „Chrystusem skazańców” i jest zwyczaj, że wszyscy ci nieszczęśliwi, przechodząc tędy, klękają u jego stóp i odmawiają „Wierzę w Boga”. O! jak wielką, jak pocieszającą wydała mi się ta myśl, natchniona przez miłość naszej świętej Matki, wiary katolickiej.

Wybladła twarz Zbawiciela, pokryta krwią i kurzem, przywiodła mi na pamięć tę drugą postać straszliwą, postać Sędziego żywych i umarłych, jak ją nam św. Jan opisuje: „Oblicze jego jaśniało, jak słońce w pełni swojej; nogi jego były, jakby utoczzone z metalu, a oczy jego gorzały, jak dwa zarzewia. Z ust jego wychodził miecz obosieczny; w prawej ręce trzymał siedem gwiazd, w lewej księgę zapieczętowaną siedmiu pieczęciami, a przed Jego nogami płynęła rzeka światła. Siedm duchów Bożych płynęło w Jego obecności, jak siedem lamp, a z Jego tronu wychodziły głosy, błyskawice i pioruny.”

I oto, ten straszliwy majestat, ten Bóg, który sądzi samych sędziów i znajduje plamy na gwiazdach niebieskich, porzucił swe potężne przywileje, aby wyjść w ubiorze skazańca na spotkanie skazańca, wyrzutka społeczeństwa; aby zrównać się z jego hańbą, zmieszać jego zbrodnię ze swą niewinnością; aby powiedzieć mu, jako brat, na parę minut przed osądzeniem go jako sędzieja: Idź w spokoju na miej-

sce kaźni, albowiem z największego kału wywiode cię i obmyję moją własną krwią.“

Otwarto kaplicę, zapalono świece, pokryto ołtarz kirem, a w ulicy na platformie szerokich gradusów, na których rozsiadła się katedra, widać było dwóch duchownych i jednego świeckiego mężczyzny, siedzących przed stołem, pokrytym czarną serwetą, z umieszczoną pośrodku tacką z drobną monetą.

Od czasu do czasu jeden z duchownych uderzał pieniędzmi w tackę, mówiąc przerywanym głosem:

— Dla dobra dusz tych, którym sprawiedliwość wymierzona będzie.

Liczny tłum zgromadził się dokoła kaplicy, oczekując pojawienia się skazańców, z tą zawiścią, z tą chciwością, usprawiedliwiającą owo twierdzenie, że jest w człowieku coś z dzikiego zwierzęcia i że nie ma w życiu nic ciekawszego nad widok śmierci.

Tłum ten składał się po większej części z mężczyzn i kobiet, przybyłych ze wsi i miasteczek okolicznych jedynie w celu przypatrzenia się egzekucji.

Niektórzy poprzynosili z sobą małe dzieci: zabytek dawniejszego zwyczaju sprowadzania tych niewinnych istotek, aby były świadkami okropnego widowiska.

W chwili, gdy skazany wydawał ostatnie tchnienie, rodzice dawali im silnego klapsa, mówiąc jednocześnie:

— Abyś to sobie pamiętał!

Zegar katedralny wydzwonił jedenastą i wnet wszystkie inne zegary powtórzyły też samą godzinę.

Po upływie dziesięciu minut dało się słyszeć jedenaście nowych dźwięków, powolnych, głuchych,

złowrogich, istnych kołatań kościstej pięści śmierci do bram Wieczności.

Był to zegar palacu sprawiedliwości, wydzwaniający ostatnią godzinę skazanego i w tym celu spóźniający się zawsze o dziesięć minut.

Dziesięć minut! Wielka to łaska, aczkolwiek wydaje się tak lichą ta łaska owych szacownych chwil, w trakcie których może jeszcze nadejść niespodziewane ulaskawienie lub dusza zatwardziała może jeszcze nawrócić się do Boga.

Falowanie tłumu, cofającego się ku kaplicy Chrystusa, zwiastowało wreszcie, że ponury orszak wyruszył z więzienia. Otaczał pochód szwadron kawalerii, której trąby dźwięczały smutno i żałośnie, jak skarga; za nim szedł Canijo pomiędzy dwoma duchownymi, odziany w długą czarną koszulę, powalaną całą błotem, gdyż dwa razy w drodze rzucił się na ziemię, tarzając się po niej z tą samą wściekłością, jaka go nie opuszczała od chwili, gdy po przyznaniu się Cachany do popełnionej zbrodni, oboje na śmierć skazani zostali.

Sędzia, przeczytawszy mu wyrok, zapytał go, według zwyczaju, czy niema jakiego życzenia, któreby mogło być spełnione.

— Czy chcę czego? — wykrzyknął Canijo zapie-nionemi usty, przewracając swe ślepe, krwią nabiegłe oczy. — Czy chcę czego? Roztrzaskać łeb Cachanie — oto czego chcę! Zagłębić jej nóż w serce po samą rękojęść!

I potrząsając kajdanami z dziką siłą, pograżył się we wścieklej rozpacz, z której nic i nikt wyrwać go nie mógł. Gdy doszli do Chrystusa skazańców, duchowni spróbowali raz jeszcze obudzić skruczę w jego zatwardziałej duszy, ale Canijo wstrząsnął się tylko z gwałtownością, która wyrzuciła jednego z duchownych, i popędził w stronę rusztowa-

nia, wydając dzikie jęki i okrzyki, do wycia roz-wścieczonych leśnych bestyj podobne.

Za nim na wózku jechała Cachana, rozciągnięta jak bezduszna kloda, na workach słomy, pogrążona w stanie bydlęcego wprost odrętwienia. Po jej lewej stronie siedział Żabiak, podtrzymując ją w objęciach i nie szczędząc jej słów otuchy, pełnych tkliwości; z prawej strony duchowny, który ją spowiadał, pocieszał ją również, pokazując jej krucyfiks.

Wózek posuwał się z okrutną powolnością wśród zbitego tłumu, który poruszał się glucho dookoła, wzruszony tym widokiem, jednocześnie rozrzewniającym i strasznym. Bohaterstwo syna przesłaniało w zupełności hańbę matki i ze wszystkich stron dawały się słyszeć okrzyki współczucia, uwielbienia i pożałowania.

Zatrzymał się wreszcie wózek przed framugą Chrystusa i Żabiak wraz z duchownym dopomogli Cachanie dźwignąć się na klęczki.

— Odmawiaj „Wierzę w Boga,“ matko!—rzekł Żabiak.

Ale Cachana popatrzyła na syna osłupiałym wzrokiem i zaczęła płakać. Nieszczęśliwa nie umiała tej modlitwy!

Wówczas Żabiak głosem dźwięcznym i donośnym zaczął odmawiać to wyznanie wiary, a matka jego z trudnością powtarzała za nim wśród jęków każde jego słowo.

Po odmówieniu „Creda” duchowny, stojący we framudze, pobłogosłowił ją ztamtąd i zszedł potem, według zwyczaju, połączyć się z orszakiem, aby być obecnym jej śmierci i trupa jej potem osłonić.

Pośrodku placu wznosiła się garrota, nagie straszne rusztowanie, zdające się tchnąć tym złowrogim rodzajem życia, jakie martwom przedmiotom nadaje przerażający cel, do jakiego są przeznaczone.

Ale bardziej jeszcze straszliwym niż garrota, bo był jej dopełnieniem i bardziej okrutnym niż śmierć, bo ją zadawał, był stojący na rusztowaniu człowiek: kat! Ujrzawszy przed sobą ten okropny widok, Cachana zsiniała, szklane jej oczy wyrwociły się, zęby zaczęły szczerkać i nieszczęsna obsunęła się w głąb wózka, jęcząc, jak biedne, bezbronne zwierzę, szukające kryjówek w przeczuciu śmierci.

Wówczas Żabiak przycisnął ją do serca i rzekł, pokazując jej rusztowanie:

— Matko! Patrz, to twoja Kalwarya!

I podtrzymując ją w objęciach przy pomocy duchownego, wstąpił z nią razem na rusztowanie...

.....

VI.

Żabiak wrócił do domku, gdzie go oczekiwała wdowa, a towarzyszył mu duchowny, który matkę jego na śmierć przysposabiał. Zegnając się z nim, chłopak wręczył mu cztery dolary, owoc swoich oszczędności, prosząc go, aby odprawił msze za duszę Cachany, ale wzruszony ksiądz nie chciał przyjmując pieniędzy i obiecał mu darmo odprawić tyle mszy, ile tylko zażąda.

Zostawszy sami Żabiak i wdowa nie przemówili do siebie ani jednego wyrazu; on padł znudzony na ubogie posłanie, ona siadła przy nim w milczeniu i pocichu zaczęła odmawiać różaniec. Następnego dnia, gdy już wszystko było do drogi gotowe zjawiał się nagle jakiś niski jegomość, lysy chociaż

nie stary, w złotych binoklach, glansowanych butach, kozłowych rękawiczkach, z laseczką o srebrnej gałce, skłonił się wdowie, nazywając ją *dobrą kobietą* i uścisnął Żabiaka nazywając go *bohaterskim młodzieńcem*. Był to redaktor pewnego ilustrowanego pisma, w którym miały być pomieszczone portrety Cachany i Canija, a pan redaktor bardzo życzył sobie dodać i portret Żabiaka, gdyż heroiczny postępek chłopca, uczynił go przedmiotem ogólnego zaciekawienia w mieście. Usłyszawszy tę propozycję Żabiak popatrzył na redaktora i odpowiedział z całą szorstkością swego prędkiego temperamentu:

— Mój portret w gazetach? Prędzej mi chyba włosy na dłoni wyrosną.

Taka odpowiedź zmieszala trochę pana redaktora. Poprawił binokle i odkasinawszy dwukrotnie rzekł:

— Młodzieńcze, młodzieńcze! Sława, bohaterstwo... pociągają za sobą obowiązek popularności... ale dają też i pieniądze... Oto na początek pięć dolarów...

— Nie chcę i pięćdziesięciu — przerwał Żabiak i odwróciwszy się do niego plecami wyszedł z izby.

— Hardy chłopak! — zauważył redaktor, nadrabiając miną.

— Niech mu wielmożny pan wybaczy — rzekła usprawiedliwiając go wdowa. — Nieboraczek od rana do nocy w pracy, to i nie miał czasu nauczyć się jak należy rozmawiać z panami.

— Hm! to w każdym razie charakter! Tak, moja kobieto, to charakter, w całym znaczeniu tego słowa — mówił dalej redaktor, uderzając się laseczką po blyszczących butach. — Musiał od dzieciństwa kształcić się na wielkich przykładach Brutusa, na zasadach Katona, na heroicznym czynach konwencyonalistów francuskich...

— I! gdzie tam wielmożny panie; on nigdy do książki ciekawy nie był. Umie pacierz a także i katechizm na pytania i odpowiedzi.

Pan redaktor podskoczył, jak gdyby go zmija ukąsiła.

— To zapewne nauka jakiego klechy! — rzekł.

— Nie, wielmożny panie... Ja go sama uczyłam.

Pan redaktor wyprostował się i potrząsając laseczką o srebrnej gałce, rzekł uroczyście.

— Ten chłopiec byłby drugim Epaminondasem, a ty niemądra kobieto obcięłaś mu skrzydła... Przed całą ludzkością będziesz odpowiedzialną za tę zbrodnię!

— Ja? wielmożny panie! — zawołała wystraszona wdowa. — Ja nawet nie wiedziałam, że jest taki święty! Ofiarowałam go świętemu Józefowi, a jeżeli z chłopaka nie będzie żaden *Paminondas*, jak wielmożny pan powiada, to przynajmniej święty patriarchy dopomógł mi, żem go wychowała na gorliwego chrześcijanina i uczciwego człowieka!

K A I N.

L'intéret personnel, sous de noms spécieux
Conduit secrètement leurs coups ambiteux.
Le peuple n'a jamais profité de leurs crime;
Il en fut le prétexte, il en est la victime.
Le Franc de Papignam.

I.

O schyłku pięknego majowego wieczora 1869 roku, gościńcem, wiodącym z Xeresu do Puerto de Santa Maria, szedł człowiek w podeszłych leciech, wiodąc przed sobą osła.

Osiół miał na sobie parcianą uprząż, a na niej bez siodła i żadnego innego oparcia, siedziała kobieta również już nie młoda, i płakała gorzko, obciera-
jąc od czasu do czasu łzy końcami katalońskiej chu-
stki, jaką miała na głowie.

Taż sama boleść, tylko bardziej powściągana, a przez to może jeszcze straszniejsza, malowała się w twarzy mężczyzny; szedł z głową spuszczoną, ściskając w rękę pręt, jakim poganiał osła; a raz po raz ciężka, cicha łza spływała mu po zapadłych po-
liczkach i ginęła w zbielełym od trosk i wieku za-
roście.

On wtedy, jakby chcąc otrząsnąć się z przy-

gniatających go ponurych myśli, podcinał silnie osła i mówił szorstko:

— Nuże, Molinero, cóż się tak wleciesz, jak za pogrzebem!

Skarcony osiołek podnosił uszy i przyspieszał kroku; ale wprędce powracał do poprzedniego leniwego chodu i spuszczał głowę, kłapiąc melancholijnie uszami, jak gdyby dzielił żaloszny nastrój swoich właścicieli.

Długi czas posuwali się w ten sposób milcząc, aż mężczyzna, spostrzegłszy z boku gościńca kawałek gruntu zasadzony melonami i pomidorami, ozwał się tym znużonym tonem, jaki przybieramy, gdy trawieni ciężką zgryzotą, usiłujemy mówić o rzeczach obojętnych:

— Jak też dobrze obrodziło tego roku Juanowi Pita!...

Kobieta nie podniosła głowy i nie odrzekła nic, jak gdyby wszystko, co nie miało związku z jej strapieniem, było jej zupełnie obcem.

W tej samej chwili z altanki, stojącej na pewnym wzniesieniu pośrodku zagonów, wyszedł człowiek niosący dwa spore koszyki pomidorów i przelazłszy ogrodzenie, dzielące go od gościńca, znalazł się obok dwojga podróżnych. Był to Juan Pita we własnej osobie.

— Bóg z wami, kumie Miguel, i z wami, kumo Joaquina!—rzekł, przyłączając się do nich.

— Jak się macie, Juanie! — odpowiedział Miguel. — Idziecie do Puerto?

— Nie — idę do Xeresu z temi pomidorami; a nie chwalać się, będą to pierwsze, jakie się tego roku na targu pokażą.

— Ja tam tego o swoich nie powiem; i tak rad jestem, kiedy je żołnierze zjedzą.

— Ho! moje to nowalijka—i to doktorska!

— Jakto, doktorska?

— A tak; bo doktorzy najlepiej płacą. I nie dziwota; z tego worka, który oni cisną, zawsze kapie; bo ten worek to śmierć.

— I po czemu je sprzedajesz?

— Ano, te *krzynkę* jeszcze zielone po półtora reala, a te dojrzalsze po pesecie; ani centa mniej.

— Po pesecie, te pomidory? Bójcie się Boga, Juanie, toż to jakby rozbój na czystej drodze.

— Ha! cóż robić, kumie Miguelu? Już ja sobie tak wykalkulowałem, że za tegoroczne pomidory muszę sobie wysztyftować osiołka.

— Baccie jeno, aby wam ten osiołek nadto na sumieniu nie zaciężył.

— E! moje sumienie nie taki znów cherlak, udźwignie go jakoś. Ja, widzicie, zanim zostałem ogrodnikiem, byłem adwokotem i nauczyłem się *rachować*.

I Juan Pita z cynicznym uśmiechem przytknął do grdyki lewą rękę, zamykając jeden po drugim palce, który to gest oznacza pospolicie czynność, wzbronioną surowo przez siódme Boskie przykazanie.

— Nieprawdaż, kumo Joaquina?—dodał Juan.— A cóż to, siedzicie taka nadęta, jak na tronie i milczycie, jak słup?

Joaquina podniosła głowę i Juan mógł spostrzedz głęboką boleść, wrytą na jej twarzy, jakiej dotychczas nie zauważył?

— *Carramba!*—wykrzyknął, cofając się krokiem w tył—a cóż wam takiego, że macie oczy czerwieniejsze od moich pomidorów?

Joaquina zalała się nanowo łzami; Miguel milczał.

— Ale... co się stało?... kumie Miguelu, gadajcie?...—pytał Juan.—Co się stało?...

— Co się miało stać? — wybuchnęła wreszcie Joaquina.—Synka mego mi wzięli, mego Perica, moje słonko, zabrali go do wojska i dziś do Kadyksu powieźli!...

— Bójcie się Boga! A ja nic o tem nie wiedziałem!—wykrzyknął Juan frasobliwie.

— Synaczek mój!—szlochała dalej Joaquina.—Na to mi przyszło nieszczęśliwej matce, com go tak strzegła i hodowała, jak żrenicę oka!... Takie to delikatne... Zmarnieje tam, niebożatko, i już go nigdy nie zobaczę!

— Nie kuś Pana Boga, kobieto, - takim gadaniem—przerwał Miguel szorstko.—Chłopak zdrow, jak rzepa; żeby tylko tyle było zmartwienia!

I zwróciwszy się do Juana, dodał:

— Bo to widzicie, kumie, babsko ułożyło sobie, że pędrakowi coś się złego koniecznie stanie i beczy oto, jak najęta.

— Milczałbyś Miguelu—odrzekła Joaquina;—tak się tem dobrze gryziesz, jak ja, tylko tego po sobie nie pokazujesz. O Boże!... Boże!—ciągnęła dalej płaczliwie—co my biedni starzy poczniemy bez naszego Perica, bez naszej jedynej podpory!

— No, no, kumo Joaquino, nie taki dyabeł czarny, jak go malują — próbował pocieszyć ją Juan.—Odkąd Adam zgrzeszył w raju, chłopaki muszą służyć królowi; a przecież jak pójdą, tak wracają; zresztą, albo to nie macie Ramona; to też chłopak, jak drut!

Gorzki uśmiech przewinął się po ustach Miguela, nadając jego znękanej twarzy bardziej jeszcze cierpiący wyraz.

— Ramon! — mruknął — no! co ma wisieć, nie utonie!

— Otóż to! jeszcze jeden cierni, jaki mnie w serce kole! — wykrzyknęła Joaquina nawpół z żalem, wpół z gniewem.—Coś ty sobie do tego biednego Ramona upatrzył, że wiecznie na niego nastajesz?

— Ja na niego nie nastaję, Joaquino — odparł Miguel poważnie — tylko miłość ojcowska mnie tak nie zaślepia, jak ciebie; więc widzę, że ten chłopak źle skończy.

— Nieboraczek! — jęknęła Joaquina. — Oj! coby też się z nim stało, gdyby nie matka, która zarówno ich obu urodziła, zarówno ich kocha...

— Jam też zarówno ich rodzic, ale widzę, co który wart. Czy uwierzycie, Juanie, że ten niecnota Ramon kiedy się dowiedział, że jego brat ma iść do wojska, to tyle go to obeszło, co zeszłoroczny deszcz; zamiast, żeby go ze mną i z matką odprowadził, został sobie w domu i baraszkuje ze swoim psem, jak za dobrych czasów.

— Bój się Boga, człowieku, więc miał ogród zostawić na Bożej opiece!—zawołała Joaquina, która, jak każda matka, umiała zawsze znaleźć coś na usprawiedliwienie syna.

— Potrafi on to, skoro chodzi o jaką zabawę w miasteczku... Mówię ci, Joaquino, że ten chłopak ma złe skłonności, i że on nas jeszcze dużo łez będzie kosztował.

Matka umilkła, jakby zrozumiawszy nagle prawdę słów Miguela, a ten wyciągnął z zanadru kolorową chustkę, zdjął kapelusz, i udając, że z potu czoło obciera, przesunął ją po oczach, w których zebrały się dwie wielkie, palące łzy.

— Nuże, Molinero, nuże, noc już za pasem! — ozwał się, popędzając osła.

Tymczasem Juan Pita, może aby wyjść co prędzej z tego trudnego położenia, w jakim znajduje

się ktoś obojętny pomiędzy tymi, którzy cierpią, a może odczuwszy, wrodzoną ludowi delikatnością, że kierunek, jakiego nabrała rozmowa, obecność jego czyni zbyt czerpaną, skorzystał z chwili milczenia i pożegnał się, skręcając na boczną drożynę, która wiodła do Xeresu, gdzie spodziewał się tak korzystnie sprzedać swoje pomidory.

Zasmuceni małżonkowie odbywali dalej drogę w milczeniu; i slychać było tylko odgłos kroków Manuela i Molinera, stłumione łkania Joaquina, dzwonki trzód, różnemi ścieżkami wracających do zagród, a z oddali dolatywał głos Juana Pito, który z tą powszechną obojętnością człowieka pełnego zadowolenia względem tego, który jest pełen smutku, śpiewał na całe gardło:

W królewskim szpitalu
Żyły cztery szczury,
Aż z nimi na balu
Potańczył kot bury.

Joaquina i Manuel pogrążeni w smutnych rozmyślaniach minęli dwa słupy zwane *Krzyżami*, stojące po obu stronach gościńca, niby strażnicy pierwszej mili dzielącej Xeres od Puerto.

Od tego miejsca idzie w bok ścieżka, na którą z własnego instynktu skierował się Molinero, i zaczął pięć się po nagiej skalistej pochyłości, zrzadka pokrytej nędzną, wyschlą trawą i zjeżonej zczerniałemi odłamami murów, rozrzuconemi niby kości jakiegoś olbrzymiego szkieletu. Taki to jest grobowiec, zbudowany przez czas zamkowi de Siduenas.

Tu bowiem wznosiła się ongi ta potężna forteca i jej osiem strzeżących ją wież. Podanie niesie, że tu to królowa Kastylji, Donna Blanka de Bourbon, opłakiwała wzgardę króla Don Pedra i że tu, z rozkazu tegoż dał jej truciznę burgrabia Juan Perex de Rebolledo, wyręczając poprzedniego strażnika nie-

szczęsnej królowej Iniga Ortisa de Junigo, który z wielką odwagą i szlachetnością oparł się był spełnieniu tej zbrodni.

Dziś, dzięki opiekuńczej ręce, która umiała przechować, jak relikwie, to, co czas i zapomnienie pozostawiły z tych murów, które tak dużo widziały i tak dużo pamiętają, ocalała jedna z ośmiu wież zamku de Siduenas, właśnie wieża królowej Blanki, i smukły jej kształt sterczy nad całym tem rumowiskiem, wyniosły, jak przystoi ostatniemu schronieniu królowej, surowy i smutny, jak przystoi strażniczce grobu. Zębata korona wieńczy jej szczyt, a na frontonie widnieje tarcza herbowa, na której pod margrabiowską koroną wspina się lew kastylijski i uwpuklają trzy arragońskie sztaby.

Ponure to wzgórze otaczają cztery bujne, w zieleni tonące sady: la Martela, la Nogal, la Algarroba i la Alcada.

W tym ostatnim, pod cieniem kilku srebrnych topoli bije czyste źródło zwane *La piedad*, które hojne i litosne, jak jego nazwa, wysyła jedno ze swych ramion, aby użyźniało sady, podczas gdy drugie, biegnąc wzdłuż gościńca, zatrzymuje się nagle tuż u stóp zrujnowanego starego klasztoru, jakby dla oplakania upadłej wielkości, i odtąd już coraz leniwiej toczy w dal swe zadumane wody.

II.

Siedem lat mijało odkąd Miguel i Joaquina dzierżawili ogród zwany la Alcada i zamieszkiwali wieżę Dony Blanki, innego bowiem domu tam nie było. Miguel uprawiał ogród przy pomocy synów Perica

i Ramona, i oni też sprzedawali owoce i jarzyny na targach okolicznych miasteczek.

Starszy Perico był to chłopiec szczery, wylany, garnący się do ludzi i życia z tą cudowną ufnością młodzieńczego wieku, w którym serce na rozcięż otwarte niema jeszcze nic do ukrycia, a radeby wszystko w siebie przyjąć. Rodziców kochał do egzaltacji, jeżeli wogóle święta i obowiązkowa miłość synowska może być egzaltowana; jedynem jego pragnieniem było zadawalniać we wszystkim ich chęci, a szczytem marzeń zapewnić im starość spokojną i szczęśliwą.

Ramon przeciwnie, miał w naturze swojej głęboko zakorzeniony ten egoizm, który w latach dojrzalszych staje się występkiem, a w młodości jest rodzajem wynaturzenia. Zazdrość, zwykła towarzysząca przewrotnych serc i ciasnych umysłów, nadawała jego charakterowi odcień gorzki i mściwy, tak jak żółć powleka żółtym kolorytem twarze niektórych chorych. Był przytem bardzo ambitnym w tym płaskim i ściętnionym zakresie, w jakim krążyły jego pojęcia. Zatruty oddech najnowszych społecznych prądów owionął i jego, i uczynił z nim to, co zwykł czynić z ludźmi tej sfery: odebrał mu tę błogosławioną równowagę duszy, w jakiej religia jedynie może utrzymać biednych i maluczkiach tego świata.

Jak wszyscy ambitni, Ramon skrytym był i nieufnym i nigdy nie wtajemniczał rodziców w swe plany i rojenia na przyszłość.

Joaquina mniej sobie zdawała sprawę z usposobienia syna, ale Miguel cierpiał nad niem w głębi duszy; wogóle jednak życie tej rodziny płynęło cicho i spokojnie, aż do chwili, kiedy Perico ukończył dwadzieścia lat, a nad pogodnym dachem jego rodzicielskiego domu zawisła owa chmura czarna, która każdego roku tylu matkom sen z oczu spędza i każdego roku krąży zarówno nad pałacami, jak nad cha-

tami, z tą tylko różnicą, że pałace mają przeciwko niej ten potężny konduktor, jakim jest pieniądz, a w chaty wypada z niej grom zwany: poborem!

Perico, ten ukochany syn, cała nadzieją starości, musiał stanąć do losowania i wyciągnął zły numer.

Napróżno biedny chłopiec próbował, siląc się na sztuczny spokój, pocieszać zrozpaczonych rodziców. Źle pociesza ten, kto sam potrzebuje pociechy, a boleść tych trojga zaprawiona była jeszcze goryczą, jaką ich napelniała obojętność Ramona, który nawet w chwili, gdy brat rzucił mu się łkając w objęcia i zegnał go z całą tkliwością swego rozżalonego serca, nie zdobył się na jedno serdeczniejsze słowo, ruszył tylko ramionami i uwolnił się niecierpliwie z jego uścisków.

— Nie bądź-że baba, u licha!—zawołał.—Wróć się, to dobrze, a nie—no, to dziura w niebie się nie zrobi.

Stacya kolei żelaznej, dokąd stroskani małżonkowie odprowadzili swego pierworodnego, przedstawiała jedną z tych rozdzierających scen, które tem są bolesniejsze, że wynikają z nieubłaganej konieczności, i że na nią żadnej rady niema.

Każdy rekrut miał tu swego ojca lub matkę, siostrę lub narzeczoną; zewsząd słyhać było narzekania tych, co zostawali, i perswazye tych, którzy mieli odjechać; wszyscy wzajem zapewniali się o swem wieczystem przywiązaniu i swej wieczystej pamięci. Miły Boże! tak jakby w ślad za miłością nie szła obojętność, a w ślad za pamięcią zapomnienia!

A nad całym tym zgiełkiem unosily się dwa wyrazy, owe Sezamy otwierające smutną krainę rozłąki, pełną obaw, tęsknoty, westchnień, cichych łez i melancholii; wszystkie usta powtarzały: *Do widzenia!*

Iluż z tych biednych rekrutów wymawiało je po raz ostatni!

Perico, siedząc na ławce w poczekalni trzeciej klasy, tulił w milczącym uścisku ręce matki, która szlochała rozpaczliwie, jak gdyby całe jej macierzyńskie serce we łzach rozplynać się miało. Przed nimi stał Miguel ze zwieszoną głową, trzymając w ręku torbę zawierającą ubogą żołnierską *wyprawę* Perica, i od czasu do czasu głucho łkanie wydobywało się z jego piersi. Długo żadne z nich nie było w stanie przemówić słowa.

Joaquina zawiesiła na szyi Perica szkaplerz Matki Boskiej Cudownej, który odcinał się na żółtym tle jego szynela, błyszcząc jak gwiazda nadziei na ponurem niebie zwątpienia.

— Nie martwcie się, mamó; trzy lata szybko przelecą — ozwał się wreszcie Perico, usiłując się uśmiechnąć, z oczyma pełnemi łez.

— Trzy lata! Trzy lata bez ciebie, synku, i ja się mam nie martwić? A któż mnie będzie pocieszał przez ten czas; któż mi zaręczy, że cię ujrzę wracającego, jak cię odjeżdżającym widzę? Matko Boska Cudowna! co się też z mojem dzieckiem stanie!

— Ona się nim będzie opiekowała! — wtrącił Miguel. — Nie płacz, bo łzami nic nie pomożesz.

— W Niej też cała moja otucha — jęknęła po-
bożnie Joaquina. — Módl się do Niej gorąco, synku, do tej Matki Cudownej, bo Ona jedna poratować nas może.

Dzwonek oznajmiający nadejście pociągu ozwał się wreszcie; wszystkie serca zadrżały; pootwierano drzwi, i gromada rodziców i synów, jakby jedna wielka ludzka fala łez i bólesci załała peron. Pociąg zbliżał się, dysząc ciężko, jak zmęczony potwór, a Joaquina patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma i, och! życiemy własne oddała, aby go módz wstecz

cofnąć. Konwulsyjnie uczepliła się ramienia syna; ale niestety! już czas na niego; już zatraskują drzwiczki wagonów, i złowrogi okrzyk „siadać! siadać!” rozlega się w powietrzu.

— Synku! synku! dziecko moje najdroższe! — woła Joaquina i zdaje jej się, że skona, tuląc go do serca po raz ostatni.

Przez ten czas Miguel, płacząc już otwarcie, jak dziecko, obejmuje go z drugiej strony i nieznanie wsuwa mu do kieszeni trzydzieści realów; mar-
na sumka, a przecież, ile potu jego czoła w nią wsią-
kło, ile pracy i oszczędności zebranie jej kosztowało, Bóg tylko raczy wiedzieć.

Ale pociąg już ma ruszyć; Perico ze ściśnionem sercem wskakuje do wagonu. Joaquina raz jeszcze chce go uściskać. Zapóźno! lokomotywa świsnęła i długi wąż wagonów wyciągnął się leniwie. Nie-
szczęsna matka, na nic nie zważając, rzuca się, wskakuje na stopień i uczeplona u antaby dotyka ustami czoła pochylonego ku niej syna. Wtem siły ją opuszczają i pada uderzając głową o szyny.

Ale cóż ją to obchodzi, skoro mogła raz jeszcze ucałować swego ukochanego chłopca!

III.

Ramon siedział na młyńskim kamieniu i uczy różnych sztuk swego psa, któremu, idąc za popędem swego niszczycielskiego usposobienia, obciął był ogon i uszy.

— Teraz idzie król! — mówił, podnosząc w górę łaskę.

Pies zaczynał szczeakać, biegał z miejsca na miejsce i aż kłapał zębami z wściekłości.

— A teraz idzie republikanin!—mówił znów Ramon, opuszczając łaskę.

Pies przybiegał w podskokach, i skomlać radośnie, czołgał się po ziemi.

Twarz Ramona, choć nieszpeta rysami, bezczelna była i odpychająca wyrazem brutalnego egoizmu i jakiejś cynicznej pewności siebie.

Siedział rozwalony, w rozchełstanej na piersiach koszuli, w kapeluszu na bakier i coraz to nowe szpryncie wymyślał ku udręczaniu nieszczęsnego psa, który dobrze widocznie znając swego pana, nie śmiał mu się sprzeciwić, lecz zziąjany, z wywieszonym językiem poddawał się posłusznie jego zachciankom...

Joaquina, siedząc na przyzbie, obierała kukurydzę i od czasu do czasu uśmiechała się, patrząc na widok zacietrzewienia, z jakim Ramon oddawał się tej rozrywce.

— Jak ci się nie sprzykrzą te psie figle?— rzekła wreszcie. — Rychło patrzeć, jak ci ogon wyrośnie i zaczniesz chodzić na czworakach.

— Nie ja siebie urodziłem, tylko matka; więc to matki wina — odparł Ramon.

— To prawda, że cię urodziłam, nieraz przychodzi mi na myśl, że nie wielką światu pociechę zgotowałam, gdy widzę, jak tracisz czas po próżnicy...

— Tak mi się podoba — przerwał chłopak zuchwale.

— Ha! jak sobie pościesz, tak się wyśpisz — ciągnęła dalej cierpliwa matka — ale ja nie mogę patrzeć na to obojętnie, bo kiedy ty tu baraszkujeś, ojciec twój pracuje w ogrodzie jak murzyn jaki.

— A któż mu każe pracować? Chcącemu nie dzieje się krzywda.

— W naszym biednym stanie kto nie pracuje, ten nie je; a tutaj gęb do jedzenia jest sporo, a rąk do pracy tylko jego dwoje.

— Jeżeli ojciec chce, żeby mu pieczone gołąbki szły do gąbki, to niech idzie do przytułku; tam go darmo utrzymywać będą.

— Och! ty niegodziwy chłopcze, jak ty się nie boisz, że ci skołowacieje ten podły język, który tak o ojcu rodzonym mówić może? Otóż to skutki twego zadawania się z tym mądrą, co cię po owych przeklętych *kluchach* (klubach) wodzi i na twoją zgubę czycha! Oj! ciężko ty jeszcze na niego zapłaczesz, i ja przez ciebie!

— Robię to, co mi się podoba, a matce nic do tego.

— I bardzo mi do tego, bo ty jeszcze swojej woli nie masz, tak jak swojej koszuli na grzbiecie.

— Niechże mi matka da spokój! — burknął Ramon — co się tam matka na tem rozumie; akurat tyle, co koza na pieprzu.

— Idź! idź! ty Kainowa duszo! w piekle cię będą rozumy uczyli. Złe dzieci źle żyją i jeszcze gorzej kończą.

— Oho! kazanie się zaczyna! Dobrze, dobrze; ja to właśnie jednym uchem wpuszczam, a drugim wypuszczam — rzekł szyderczo Ramon, odwracając się tyłem.

I dla dokuczenia matce odszedł śpiewając:

Republikańskim księżyc jest!
Republikańskim słońce jest!
Republikanką żonka ma!
Republikanin jestem ja!

Biedna matka łuszczyła w dalszym ciągu kukurydzę, tylko powolne, ciche łzy spływały po jej po-

liczkach, a jednocześnie pamięć, ta okrutna dręczycielka, przywiodła jej na myśl tamtego, nieobecnego, i przez porównanie z jego miłością i czcią dla rodaków, zuchwalstwo i egoizm Ramona jeszcze okrutniejszemi jej się wydały.

Ale w tej samej chwili nadzieja musnęła ją swem promiennem skrzydłem i rozpozgodziła jej za troskane czoło.

— Wróci — szepnęła — wróci!

Joaquina tak była pogrążona w myślach, że nie dostrzegła wysokiego, kościstego mężczyzny, który szybko wstępował na wzgórze i wreszcie stanął przed nią.

— Pozdrowienie i braterstwo! — przemówił donośnie.

— Wszelki duch!... — wykrzyknęła, podskakując Joaquina. — A to się przelękałam!

— Alboż jestem tak brzydki, żeby się mnie kobiety lękały? — zapytał nowoprzybyły.

— Juści, jeżeli to prawda, że czkawka leczy się przestraszeniem, to już lepszego lekarstwa nad wasz widok być nie może.

Joaquina nie przesadzała. Był to poprostu wstrętny typ przebranego po miejsku chłopca, który w surducie tak wygląda jak osioł w lwiej skórze; typ głupiego pyszałka, który, liźnawszy trochę powierzchniowych wiadomości, czuje się wśród prostaczków królem, jak jednooki wśród ślepych, typ *propagatora światła*, które sprzedaje po cenie niżej kosztu, jak zapalki uliczne, światła tak cuchnącego, pryskającego i nic nie oświetlającego, jak one; typ *umysłowego pro wodyra*, który sprowadza na manowce inteligencye i sumienia biednego ludu, przyjmującego w ślepej wierze zatrute otręby, jako zdrowe ziarna.

Ta twarz, bezczelna i głupia, te oczy zezowate, przymykające się od czasu do czasu, jak gdyby w myśl

nosce te ipsum starożytnych chciały się własnemu ja od wewnątrz przypatrzeć; ten zatłuszczony i obwisły ubiór; ta republikańska zielono-czerwonobiała chustka na szyi, a nadewszystko olbrzymia, ciężka laga, którą podpierał się z taką samą pewną siebie miną, z jaką spokojny obywatel opiera się na swoich *osobistych prawach*, wszystko to składało się na nieomylny i dokładny rysopis mówcy federalnego, i przyjaciela Ramona; tego Mefistofelesa, który wpajał w niego niebezpieczne ideje, doradzając mu, w imię ojczyzny, wykraść rodzicom pieniądze, aby ginęły w jego własnych bezdennych kieszeniach.

Nie dziw też, że Joaquina, ochłonawszy nieco, odezwała się do niego z takim mniej więcej wyrazem twarzy, z jakim musiał przemawiać święty Antoni do kuszącego go na pustyni dyabła:

— Jakiż zły wiatr was tu przygnał z tą waszą chustką jaskrawą, co aż w oczy kluje?

— Dobro ojczyzny! — odpowiedział federalista pompatycznie.

— Niech ją Bóg od takiego dobra uchowa, i nas, co ją po swojemu a uczciwie kochamy.

— Moja pani! — wykrzyknął federalista, który wydawał się jakiś pomieszany — dość tej głupiej gadaniny, a powiedzcie mi lepiej, gdzie jest Ramon, bo do niego przychodzę.

— Ramon poszedł do miasta na targ z warzywem i dopiero późno wieczorem powróci — odparła Joaquina, kłamiąc bez zająknięcia, jak dyplomata najczystszej wody.

— Poczekam na niego choćby do rana.

— A to czekajcie siedzący, bo was nogi zabolą — odrzekła Joaquina niecierpliwie, i wstawszy, poszła zwolywać swe wałęsające się po wzgórze kury.

Federalista zaczął przechadzać się tam i napowróć u stóp wieży, rozglądając się na wszystkie stro-

ny i nad słuchując pilnie. Nagle, niespokojne oczy jego padły na białą marmurową tablicę, wmurowaną nad drzwiami wieży i opiewającą, że „przez miłość dla chwały rodu, obecny margrabia del Castillo Jego Ekselencya Senior Don Francisco Ponce de Leon y Maviconcio, przedsięwziął odbudowanie tego historycznego pomnika“.

— O! nędzna pycho bogaczy! — wykrzyknął federalista. — Kamień na kamieniu z ciebie nie zostanie!... Ja w tem! Zburzymy to wszystko: zamki, pałace, pomniki! Zburzymy, z ziemią zrównamy!

— Zburzycie, jak [zburzycie, ale gdyby wam jaki pałac podarowano, tobyście w nim z gustem zamieszkali — odezwała się wracająca w tej chwili Joaquina z tą wrodzoną ludowi andaluzyjskiemu do wcipną trzeźwością sądu.

— Ja? w pałacu? wołałbym w psiej budzie! — wykrzyknął federalista z emfazą. — Wiedz, kobieto! że nad wszystkie herby i tytuły ja cenię to!

I stuknął się palcem w piersi, a raczej w to miejsce surduta, które przykrywał rodzaj orderu, wykrojonego z błękitnego papieru z napisem po jednej stronie: „18-sty Wrześniu“, a po drugiej: „Niech żyje lud“.

— Tak, moja pani, tak — ciągnął dalej zaperzony — to jest jedyny pomnik wart tej nazwy; on będzie świadczył wiecznie o tryumfie Rewolucyi i bohaterstwie ludu.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała spokojnie Joaquina — ale radzę wam, noście zawsze parasol pod pachą, bo pierwszy deszcz, co spadnie, to wam ten *pomnik* na nic rozmoczy.

— Niech go rozmoczy, ja się zostanę, żeby głosić jego idee.

— Bodajście się udławili waszemi ideami.

Oburzony prorok miał coś odpowiedzieć, gdy

nadejście Ramona przerwało rozmowę. Chłopak niósł w ręku spory koszyk bobu, a za nim biegło z pół tuzina indyk, wyciągając szyje i dziobiąc koszyk żarliwie.

— Ramonie! synu mój! — wykrzyknął federalista, spiesząc na spotkanie Ramona. — Nadeszła godzina zawołać: Niech żyje republika!

— Glu, glu, glu — zagulgotały indyki, wystraszone temi okrzykami.

— Patrzcie-no, nawet indyki wołają: wiwat! — odparł Ramon, uszczęśliwiony z takich popleczników, którzy, nie biorąc, w rachubę upierzenia, byli tak, jak on dwunożni.

Joaquina widząc, że federalista i Ramon oddalają się za dom, rozmawiając tajemniczo, poszła za nimi i ukryta za węglem, starała się wyrozumieć treść ich narady.

Widziała, jak, po pierwszych słowach propagandy, Ramon podniósł ręce w górę i cofnął się mimowoli, jakby z odrazą, ale tamten napierał na niego gwałtownie i łatwo się było domyśleć, że mu coś tłumaczy i do czegoś go namawia, aczkolwiek do uszu biednej matki dochodziły tylko pojedyncze słowa: *Sprawa ludu. — Ojczyzna. — Despotyzm bogaczów. — Podział dóbr.*

— A jeżeli dostanę kulą w łeb? — przemówił Ramon tak głośno, że Joaquina usłyszała go doskonale i krew jej się ścięła w żyłach, jak gdyby go już martwym widziała. W końcu Ramon zdawał się mięknąć i zgadzać na czynione mu propozycje, gdyż federalista uściskał z zapalem jego ręce i wykrzyknął:

— A więc już umówione. Przyniesiesz obie fuzye!

— Tak — odparł Ramon, i z głową zwieszoną, milczący, jakby pogrążony w głębokich rozmyślaniach, udał się w stronę sądu, gdzie w małym sza-

łasie, z umysłu na ten cel zbudowanym, mieściło się jego posłanie.

Joaquina nie śmiała go zatrzymywać, wróciła do wieży i instynktownie zajrzała do kryjówki, kędy Miguel zwykł był chować swoją fuzyę. Nie było jej tam, a że Miguel, wychodząc z domu, nieabrał jej z sobą, nie uległo wątpliwości, że miał ją Ramon.

Biedna matka w najwyższym niepokoju miejsca sobie znaleźć nie mogła, rozpoczynała jakąś robotę i rzucała ją natychmiast, to machinalnie przestawiała sprzęty, to wyglądała przez okno; wreszcie usiadła na przyzbie, i z głową ściśniętą dłońmi, ze wzrokiem w ziemię wbitym, pozostała tak nieruchoma. Najokropniejsze przecucia dręczyły ją, tem okropniejsze, że nic określonego w nich nie było.

Słońce zasunęło się zupełnie za widnokrąg, zmrok czynił się coraz gęstszy, gwiazdy jedna po drugiej wybłyskiwały na firmamencie; Miguel wrócił od roboty i zjadłszy wieczerzę, położył się spać milczący i posępny, jak zawsze.

Wówczas Joaquina weszła do sadu i szybko a pocichu skierowała się ku szałasowi Ramona.

W szałasie przebłyskiwało blade światelko ogarka. Osioł Molinero spał w przegrodzie na gnoju, tuż obok stosu jarzyn i pustych koszów; Ramon zaś siedział na tapczanie i maczając gałganek w blaszance z oliwą, czyścił kurki obu strzelb, których lufy świeżo wypucowane, błyszcząły jasno w mdłym świetle ogarka.

IV.

— Dlaczego nie śpisz do tej pory, chłopcze? Co robisz? — przemówiła Joaquina, wchodząc nagle do szałas.

Ramon podniósł się raptem, upuścił broń na ziemię i odparł na wpół przestraszony, wpół rozgniewany:

— A matce co do tego?

— Na Matkę Najświętszą, powiedz mi, co to znaczy? — zapytała Joaquina, potracając nogą leżące na ziemi fuzye.

— Niech matka ztąd idzie, bo będzie źle.

— Nie pójdę! nie pójdę! — wykrzyknęła niešťczęśliwa kobieta, osuwając się na tapczan, na którym poprzednio siedział Ramon.

Ramon, nie mówiąc słowa, chwycił ją za ramię i siłą wypchnął z szałas.

— Niegodziwczę! niegodziwczę! — jęknęła Joaquina — poczekaj, zawołam ojca!

— A niech go sobie matka woła. Znajdzie się tu poczęstunek dla was obojga — odparł Ramon, grząc jej pięścią.

— Boże! Boże! — szeptała Joaquina, uciekając, jak z jakiego przekłętego miejsca.

Miguel, śpiąc twardo po całodziennem znużeniu, nie słyszał wejścia Joaquiny, która położyła się na łóżku w ubraniu, ale ból i niepokój spędzały jej sen z oczu, i tak godzina za godziną upływała ta noc okropna, powolna i męcząca, jak niebezpieczeństwo, które się widzi, a którego zażegnać niepodobna.

Nagle Joaquina usiadła na łóżku tak gwałtownie, że aż Miguel się obudził: bystre jej ucho do słyszało wycie Ramonowego psa, a potem kroki, które prędko ucichły w oddaleniu.

— Co ci jest! czego się kręcisz i spać mi nie dajesz? — zapytał Miguel.

Biedna Joaquina położyła się znów i zapanaowała cisza tak głęboka, że słycać w niej było uderzenia tego udręzonego macierzyńskiego serca, które krwawiło się z bólu, rozpacz i trwogi o los niegodziwego syna. Wkrótce Miguel zaczął chrapać; wtedy Joaquina zsunęła się z łóżka i omackiem doszła do drzwi; ale gdy je odmykała z największą ostrożnością, klucz zazgrzytał w zamku, Miguel poruszył się znów i nieszczęśliwa kobieta przylgnęła do drzwi, cierpiąc za życia męża śmierci.

Wreszcie zdołała wymknąć się na zewnątrz! Noc była czarna i ponura, jak złe sumienie; Joaquina, potykając się o drzewa i korzenie, pobiegła do szałas Ramona. Świeciło się w nim jeszcze, ale był pusty.

— Ramonie, Ramonie! — zawołała Joaquina przyciszonym głosem, wyciągając na wszystkie strony swe wylężnione oczy.

Nikt jej nie odpowiadał; w ciszy tylko słycać było szelest opadających liści, którymi wiatr igrał.

— Matko Przenajświętsza! Matko Przenajświętsza! gdzie on, co z nim się stało! — wołała nieszczęśliwa, biegnąc naoslep w głąb ogrodu. — Panno Cudowna, nie opuszczaj nas!

I znów zaczęła wołać:

— Ramonie! Ramonie!

— Ramonie! Ramonie! — odpowiadało jej echo

w wierzchołkach drzew tak smutnie, że wydawało się łkaniem.

Joaquina wybiegła na wzgórze, ztamtąd na drogę i znów do szałas, ale wciąż to samo okrutne milczenie było jedyną odpowiedzią na jej wołania.

Pogoń ta bezowocna i bezcelowa trwała aż do świtu; rozpacz dodawała sił nieszczęśliwej kobiecie. Wreszcie na wpół żywa z utrudzenia i trwogi, do wlokła się do wieży i rzuciła się na łóżko obok Miguela, który spał ciągle. Przez jedną chwilę przyszło jej na myśl, aby go obudzić i podzielić się z nim swą boleścią, ale czy wstrzymała ją litość nad znękanym i tak starcem, czy usta nie chciały oskarżać wyrodnego syna, dość, że znalazła w sobie tyle siły, aby cierpieć w milczeniu i czekała tylko aż wstanie sam i pójdzie do roboty.

Wtedy, nie zwlekając ani sekundy, pobiegła na gościniec, wiodący do Xeresu. Wnet zaczęły ją wymijać gromadki uciekających ztamtąd pośpiesznie kobiet i dzieci. Niektóre z nich niosły poduszki, odzież i gospodarskie naczynia.

Od nich dowiedziała się nieszczęśliwa matka, że od wczoraj już wojsko biło się z motłochem i że walka, zawieszona podczas nocy, rozpoczęła się znów o świcie; powiedziano jej także, że właśnie nadzedł był z Kadyksu pułk świeżo odkomenderowany z Malagi.

— Z Malagi! To pułk Perica! — wykrzyknęła Joaquina, chwytając się obu rękoma za głowę — Moje dzieci! moi synowie, krew moja! jeden przeciw drugiemu! Boże! Boże!

I jak obłąkana, biegła w stronę miasta, zrozumiawszy wreszcie, że Ramon znajdował się na barykadach.

Szybko, jak błyskawica, Joaquina przebiegła stromą pochyłość, zwaną *Playas de San Telmo*, i nie odpoczywając, skierowała się ku Staremu Krzyżowi, gdzie właśnie wrzała bitwa; ale u wylotu ulicy Galvan barykada zatamowała jej drogę. Mrowie pospólstwa pokrywało barykadę: jedni znosili amunicję, inni przytaczali głazy i brukowce, inni wreszcie z przyłożonemi do twarzy karabinami, czekali znaku, aby dać ognia.

— Co tu robicie, kobieto! — rzekł jeden z powstańców, chwytając brutalnie za ramię nieszczęsną matkę, która za całą odpowiedź zdołała tylko wybelkotać:

— Moi synowie! Moje dzieci!

Odepchnięta, zawróciła i, krążąc innemi ulicami, znalazła się znów po pewnym czasie w pobliżu barykady. Mieszkańcy, którzy z po za uchylonych drzwi i okien śledzili ciekawie przebieg walki, spoglądali ze zdumieniem na tę kobietę, która w przekrzywionej na potarganych włosach chustce, rozszlochana i na wpół przytomna biegła ulicami, nie zważając na kule, na wrzaski, na pociski, latające ze wszystkich stron.

Nie wiedzieli, że to była matka.

— Joaquina! — wykrzyknął nagle jakiś kobiecy głos, gdy ta weszła w ulicę Molino del Viento.

Nieszczęśliwa zatrzymała się na środku ulicy, rozglądając się dokoła wystraszonemi oczyma, ale nie zobaczywszy nikogo, chciała iść dalej, lecz nagle jakaś kobieta wyszła z sąsiedniego domu i chwyciła ją za ubranie, wołając:

— Na miłość Boską! gdzie idziesz? Śmierci szukasz?

— Moje dzieci.—wyjąkała Joaquina.

I nie mogąc słowa więcej wymówić, ręką wskazała w stronę, z kąd dochodził nieustający odgłos strzałów.

— Otóż to! otóż to! — zawołała tamta z właściwą ludowi gwałtownością. — Warto mieć dzieci! warto je rodzić w męce i hodować w strapieniu!

Kilka kobiet wyszło z tego samego domu i otoczyło Joaquinę, która rzuciła się na stos kamieni, płacząc bezradnie.

— Wejdźcie tu, matko! — mówiły do niej — nie kuście Pana Boga na tych ulicach.

— Nie spoczne, dopóki ich nie odnajdę — jęknęła Joaquina. — Jeśli któremu z nich kula przeznaczona, niech mnie pierwej dosięgnie.

I jak gdyby nowy przypływ bólu sił jej nagle dodał, wyrwała się z pomiędzy usiłujących ją zatrzymać kobiet. Wtedy jedna z nich, mająca w pobliżu barykady małe sklepienie z owocami, opustoszały od wczoraj, dała jej kluczek od niego, radząc, aby ztamtąd, ukryta za drzwiami i bezpieczna od kul, wypatrywała swoich synów.

Biedna kobieta wzięła go w milczeniu i poszła, a pozostałe sąsiadki spoglądały za oddalającą się, płacząc rzewnie, ogarnięte tem nagle współczuciem, jakiego doznają matki na widok nieszczęścia innych matek.

Ów nędzny sklepik znajdował się w oddaleniu najwyżej dwudziestu kroków od barykady, która wspierając się o wspaniałą ruinę palacu Villa panés, zamykała ulicę Cerro Fuerte. W niej tłoczyło się wojsko, po drugiej zaś stronie był lud.

Drzwi sklepika otwarte były na rozcież; wszystkie sprzęty poprzewracane i podruzgotane, nawet obrazy świętych pozdzierano ze ścian; nietkniętym

tylko pozostał wizerunek Najświętszej Panny, i w nim też teraz Joaquina utkwiała wzrok swój osłupiały, jak gdyby ztamtąd tylko wyczekując ratunku i miłosierdzia, o które już nawet zebrać nie miała siły.

Tymczasem strzelanina odezwała się nanowo; Joaquina przymknęła drzwi i przez szparę spoglądała na walkę poprzez gęstą chmurę dymu, za którą, jak za kurtyną, rozgrywało się to krwawe widowisko. Wojsko zdobyło wreszcie barykadę, ale część broniących jej nie ustąpiła, przyjmując walkę ręczną, podczas gdy inni uciekali w nieładzie, rzucając broń i ratując życie.

Joaquina wystraszona zamknęła drzwi zupełnie i padła, jak bez duszy, na podłogę. Piekielny hałas wzrastał się w miarę, jak walczący posuwali się w głąb ulicy. Wkrótce nieszczęsna kobieta mogła już wyraźnie słyszeć przekleństwa walczących, jęki rannych i głuche odgłosy ciał, walących się na ziemię. Dwie kule przebiły cienkie drzwi i uwięzły w ścianie.

— Ramon! — wykrzyknął nagle jakiś głos z taką rozpaczą i trwogą, jak wołać może tylko ktoś, stojący oko w oko ze śmiercią.

Joaquina porwała się z ziemi i stanęła prosta, sztywna i tak blada, jak gdyby była trupem, który powstał z grobu.

— Ramon! Ramon! nie strzelaj!... — wykrzyknął znów ten sam głos z większym jeszcze przerażeniem.

W tej samej chwili rozległ się strzał, okrzyk i odgłos padającego ciała i zgrzyt stali, dającej pchnięcie.

Joaquina podeszła do drzwi i otworzyła je na rozcież.

Boże wielki! Na ziemi, bez życia już, leżał Perico, ten syn tak ukochany i tak opłakiwany, z kulą w sercu i sztyłem wepchniętym w piersi.

Tuż nad nim stał Ramon; w lewej ręce trzymał dymiącą fuzyę, prawa ociekała krwią, z piersi brata wytrysła. Ujrawszy matkę, cofnął się mimowoli, i podnosząc rękę do czoła, czerwonym piętmem je naznaczył.

— Kainie! Kainie! Na czole to sobie wypisałeś! — krzyknęła Joaquina ze straszliwą siłą i bólem matki, która przeklina i która widzi jednego syna trupem, a drugiego bratobójcą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



98189/1